№ 17. Warszawa, 22 kwietnia 1922. Cena 80 mk. Rok III.

TYDZIEŃ POLSKI

UGODA NIEMIECKO-SOWIECKA.

Podpisany dla większego wrażenia w Rapallo i obwieszczony światu z Genui, traktat z dnia 16 kwietnia nie stwarza nic nowego, lecz tylko odświeża i demonstracyjnie stwierdza dawne niemiecko-bolszewickie współdziałanie.

Datuje się ono jeszcze od wiosny 1917 r., kiedy Niemcy ułatwiły Leninowi powrót do Rosji i zaopatrzyły go w środki materjalne dla destrukcyjnej agitacji na froncie i wewnątrz kraju. Naiwnem oczywiście jest twierdzenie, że Niemcy importowały bolszewizm do Rosji. Jako kierunek maksymalistyczny śród rewolucyjnej inteligencji rosyjskiej bolszewizm istniał bez udziału niemieckiego; w psychice mas rosyjskich bolszewizm znalazł dla siebie grunt podatny, a wojna wytworzyła dla rozkwitu jego wyjątkowo przyjazne warunki. Ale nie można zaprzeczać też tego, że złoto niemieckie na początku rewolucji rosyjskiej, kiedy hasła bolszewickie nie były popularne, dało możność bolszewikom stworzyć natychmiast potężną organizacją i rozwinąć olbrzymią agitację, przy pomocy której bolszewicy tak prędko opanowali tłumy i doszli do władzy. Niemcy pomogły bolszewikom do rozwalenia dawnej Rosji i stworzenia na jej gruzach państwa sowietów, bolszewicy dopomogli Niemcom w zlikwidowaniu frontu rosyjskiego. Są to powszechnie znane fakty. Mniej jednakże zastanawiano się nad dalszemi następstwami tego związku przeciw naturze—związku Niemiec Wilhelma II z Rosją Lenina. Co dał jednej i drugiej stronie ten sojusz czarno-żółto-czerwony?

Złoto niemieckie starło odrazu różnicę w ruchu bolszewickim między fanatykiem ideowym i płatnym agentem, wycisnęło na bolszewiźmie to piętno zbrodni, z którem doszedł do władzy, z którem rządy sprawuje i przejdzie do historji.

Co Niemcom przyniósł ten sojusz?

Rezultaty na razie, zdawało się, były świetne. Niemcy pozbyły się przeciwnika na wschodzie i zagarnęły ogromne terytorja. Ale bardzo prędko wyszedł na jaw złudny charakter tych wspaniałych rezultatów. Terytorja w Rosji z takąż samą szybkością zostały stracone, z jaką były zdobyte, a wojska niemieckie, przerzucone z frontu wschodniego na front zachodni, nietylko nie uratowały Niemiec od klęski ostatecznej, ale tę klęskę ptzyśpieszyły, bo były to już wojska zdemoralizowane. Rozkładając armję przeciwnika, zawierając rozejm z wojskiem zbuntowanem, które mordowało własnych dowódców, Niemcy zatruwały ducha własnej armji. Można wierzyć Luedendorfowi, kiedy mowił, że gdyby mógł przewidzieć wszystkie następstwa bolszewizmu, to by nie urzył tego narzędzia dla rozwalenia frontu rosyjskiego.

Nie nauczony jednakże tym przykładem, niezrażony destrukcyjną robotą bolszewików i próbami przewrotu komunistycznego w Niemczech, niemiecki rząd republikański kontynuje tradycję rządu cesarskiego i podtrzymuje przyjaźń z sowietami, opartą na wspólnej nienawiści do Traktatu Werselskiego, do Francji i do Polski.

Dziś traktat zawarty w Rapallo odświeża te tradycje.

Co daje on jednej i drugiej stronie?

W robocie destrukcyjnej, w mąceniu pokoju europejskiego, w zagrażaniu Polsce sojusz ten może oczywiście być pomocnym i Niemcom i bolszewikom. A ponieważ ci ostatni żadnych innych celów prócz destrukcyjnych i nie mają, więc dla nich ten sojusz jest pożadanym bezwzględnie i bez zastrzeżeń. Lecz czy przyniesie on jakie trwalsze korzyści Niemcom?

Na pierwszy rzut oka może wydawać się, że bolszewizm, zniszczywszy przemysł rosyjski, stworzył warunki dla współżycia niemiecko-rosyjskiego, opartego na tem, że Rosja będzie

terenem dla ekspansji przemysłu niemieckiego. Ale bolszewizm przecie zniszczył nietylko przemysł w Rosji, ale i rolnictwo i wogóle podstawę i warunki życia ekonomicznego. Aby Rosja mogła być terenem dla przemysłu niemieckiego, trzeba przedewszystkiem nakarmić głodną ludność rosyjską, odbudować jej rolnictwo i koleje, a tego Niemcy nie są w stanie uczynić.

Niemcy są w stanie poprzeć bolszewików, i przedłużyć panowanie rujnującego kraj i niszczącego ludność systemu, ale nie są w stanie okazać pomoc Rosji i dźwignąć ją z ruiny. W społeczeństwie rosyjskiem żyją nadzieje, że Niemcy które dopomogły bolszewikom w dojściu do władzy, dopomogą też w likwidowaniu bolszewizmu i te nadzieje podtrzymywane przez Niemców, prowadzących grę podwójną, były źródłem nowej orjentacji niemieckiej śród emigracji rosyjskiej. Nowa ugoda niemiecko-bolszewicka powinna rozwiać te iluzje. Nie przez Niemców dokona się odbudowa Rosji.

Jakież są konsekwencje tej ugody dla nas?

Bezpośrednio oczywiście niepożądane i nawet niebezpieczne. Sojusz niemiecko-bolszewicki jest bowiem skierowany przedewszystkiem przeciwko Polsce. Ale ma też fakt, którego bezpośrednie niebezpieczeństwo Polska potrafi zażegnać dzięki sojuszowi z Francją i porozumieniu z Małą Ententą i państwami baltyckiemi i swoją dodatnią dla nas stronę, jeżeli myśleć o dalszych jego następstwach. A mianowicie: sojusz niemiecko-bolszewicki robi to, że Rosja będzie się odradzała nie z pomocą Niemiec, a w walce z niemi i w nienawiści do nich, a zatem usuwa się niebezpieczeństwo stałej w przyszłości, a groźnej dla Polski przyjaźni niemiecko-rosyjskiej.

„Lat tysiąc jako dzień jeden“.

(II List św. Piotra, 3, 8).

Mamy teraz więcej czasu, aby rozejrzeć się w naszej literaturze naukowej i widzieć wszystkie jej przerażające braki. Rozczulamy się nad „pierwszością“ książek, które powinny się były pojawić u nas już sto lat temu. O jednej takiej zamierzam właśnie mówić.

Zakład narodowy im. Ossolińskich we Lwowie który ma rzetelne zasługi około rozbudowy nauki polskiej, wydał przed paru tygodniami książkę ks. dr. Władysława Szczepańskiego, profesora warszawskiego uniwersytetu, p. t. „Egipt“, jako pierwszy tom cyklu: „Najstarsze cywilizacje wschodu klasycznego“. Jest to pierwsza tego rodzaju rzecz w Polsce, która ma niegodną poprzedniczkę w dyletanckiej robocie ks. Zahorskiego. (Jeszcze mniej wartości posiada smętna bibulasta kompilacja Święcickiego: „Literatura egipska“).

Egipt jest u nas prawie nieznany. Wynosi się ze szkoły jakaś śmieszną garść luźnych wiadomości, aby je możliwie prędko zapomnieć, skoro niema książek, któreby je podtrzymały i rozszerzyły. Przeciętnie więc widziało się piramidy na markach, sfinksa na pudełku papierosów, „oczy mumji“ w kinematografie. Trochę tego za mało dla narodu cywilizowanego. A jak dalece np. w sferach literackich żywie pewne wstydliwe poczucie tego niedostatku, świadczy fakt, że Tadeusz Smoleński ma swoje miejsce w pamięci ludzkiej, jako dziw i jako legenda: „Był taki człowiek w Polsce, który czytał hieroglify“.

Ks. Szczepański też o nim wspomina. Odbywał studja pod samym wielkim Maspero, podjął się wykopalisk w Egipcie na koszt bogatego mecenasa sztuki Węgra(!) F. Backa, najpierw w Szarnua, potem w Gamhud i poczynił pewne ważne odkrycia. Był taki człowiek w Polsce, który czytał hieroglify, ale umarł młodo. Po nim nikt się nie zjawił. Przez długie lata na uniwersytetach naszych nie było nawet katedry historji starożytnej. Dlatego książka Szczepańskiego nabiera specjalnej wartości. Gdy się znajdzie w każdej biblioteczce domowej, rozniesie się w szerokie koła naszej inteligencji znajomość rzeczy ze wszech miar godnych poznania. Nic tak bowiem nie wzmaga kultury jednostek czy narodów jak wędrówka po cmentarzyskach dawnych kultur. Przeżywa się formy stare, pierwotne lub kunsztowne, czuje się wprost fizycznie jak myśl staje się gibką, wrażliwszą, bardziej subtelną. Staramy się zrozumieć ludzi, z którymi nie mieliśmy nic wspólnego i przez to lepiej rozumiemy samych siebie. Dusza staje się bardziej ludzka, bardziej przystępna, pozbywa się barbarzyńskich szorstkości.

Nie to, żebyśmy się mieli czegoś uczyć od Egipcjan. W jednym papirusie znajdujemy taką receptę na ból żołądka: „Kminek, tłuszcz gęsi i mleko — zagotować i wypić“. Każdy bezstronny przyzna, że mamy lepsze dzisiaj lekarstwa. Egipcjanie są nam dalecy i w geografji ziemskiej i w geografji dusz. Oto np. niebo jest u nich bóstwem żeńskiem, a ziemia męskiem. Nic bardziej dalekiego od naszych pojęć. Naszych — to znaczy aryjskich. A przecież można odkryć tysiąc węzłów, łączących naszą kulturę z kulturą ludu z pod piramid. Rosja do niedawna, a parę wieków przedtem cała Europa używała jeszcze kalendarza, który Egipcjanie ustanowili w dniu 19 lipca r. 4241 przed Chr. Jest to węzeł dość gruby. — są mniej widoczne, a bardziej istotne.

Czytając książkę ks. Szczepańskiego uśmiechowywałem się, jak ta wdowa po akademiku francuskim w „Czerwonej lilii“ France'a, która chodząc po muzeach florenckich co chwila odnajduje w starych obrazach dobrych znajomych z Paryża.

Niepodobna się mylić poprostu. Opisy bitew Tutmorisa łudząco przypominają komunikaty sztabu niemieckiego: „waleczne wojska Jego Majestatu biją na głowę podłego nieprzyjaciela“. Wiadomo, jaki kłopot ma nieraz nauka z najdostojniejszem kłamstwem. „Historja o cudzołożnicy“ z XIII wieku przed Chr. wbrew intencjom autora nie przekonywa mnie, że „wierność małżeńska w Egipcie była wysoko ceniona i surowo przestrzeganą“, natomiast nie mogę się oprzeć zdziwieniu, odnajdując w niej treść

niedawno oglądanego dramatu kinematograficznego „Strzał“. Spotykamy Odyssa, który tu się nazywa Sinchu i podobnie jak nieszczęśiwy wygnaniec z Itaki po kąpieli wstaje hoży i piękny tak, że „na ciele jego wróciły się lata“. Dwaj literaci ironizują swoje utwory i dogryzają sobie nawzajem, jak w naszych polemikach. Jakiś bezimienny Horacy z XXV w. przed Chr. tak woła do współbiesiadników: „Śpiew i muzyka niechaj brzmi przed tobą; wszelkiemu smutkowi pokaż tył i myśl tylko o radości, aż przyjdzie dzień twego odejścia“. A inny w trzysta lat potem: „Obkładaj głowę mirrą, ubieraj się w delikatne płótna, przesycone pyszną wonnością—rzecz to godna bogów“. Nie brak nawet c a r p e d i e m. Hasło to rzuca dusza w rozmowie z jakimś melancholikiem (utwór przypomina naszą „Rozmowę Mistrza ze Śmiercią“): „Goń za dniem wesołym!“.

Sfinks, który i to słyszał i o wiele późniejszą piosenkę poety z Tibur — nie dziwi się wcale. Wszak dla niego, jak dla każdego bóstwa: „lat tysiąc, jako dzień jeden“.

Poezja Egiptu nie byłaby prawdziwie starożytna, gdyby nie przeważała w niej dydaktyczność. Dawniej lubili ludzie mieć zawartą w dźwiękach przyjemnych dla ucha treść pouczającą i zdrową. Przysłowia zatem i opowieści moralne stanowią powabną lekturę. „Wymowny wieśniak“ w swych rozmowach tworzył coś w rodzaju egipskiego „Marchołta“, a mądry Ptahotep, dzięki swej niechęci do kobiet przeżył lat sto dziesięć i tak mówił: „Jeśli chcesz pogłębić przyjaźń w domu, do którego wstępujesz, strzeż się zbliżać do kobiet. Miejsce gdzie one bawią nie jest dobrem... Tysiąc mężów ginie, ponieważ krótkiej godziny jako snu zażyli. Musi się umierać, gdy się je poznało“.

Tak mówił mądry wezyr króla Esse około r. 2600 przed Chr., gdyż inaczej trudnoby go było nazwać mędrcem bez tych kilku złośliwości pod adresem pięknych uwodzicielek z nad Nilu. A były one w istocie piękne. Dość spojrzeć na portret pani Nofret, której nawet pewien uczony a b b e musiał przyznać, że jest f o r t b e l l e. To też nie wszyscy podzielali twarde zdanie stuletniego Ptahotepa. Jak wszędzie indziej, zajmowano się kobietą w Egipcie tak, jak to jest ogólnie przyjęte od wielu tysięcy lat. Na cześć „pieszczoszki ukochanej“ pisano nawet wiersze futurystyczne, że mógłby je dziś wydrukować E s p r i t n o u v e a u z podpisem samego Jeana Cocteau. Dodali jednak starzy Egipcjanie kilka ciekawych nuance'ów. Mówiło się o kochance „siostra“ i czyniono sobie wyznania, nie pozbawione zmysłu praktycznego (O n a: „O piękny! serce me pragnie być dla ciebie gospodynią, gotować ci pokarmy“), jak przystało na lud pracowity i skrzętny, który oddawna przechowywał w swych papirusach takie zasady: „Jeśliś jest mądry, pomyśl o małżeństwie, kochaj swą żonę, odżywiaj ją i ubieraj, dbaj o jej przyjemności, jak długo żyjesz. Ona jest rolą która się opłaca swemu panu“. Ramzes II miał 200 dzieci i był jednym z ulubionych bohaterów w tym kraju.

Przeglądając w ten sposób całą książkę, doznaje się dziwnego uczucia na widok dawności przeżyć ludzkich i form, w jakie je przelewano. Ta dawność kultury egipskiej najpierw imponuje, a potem jest się już tak zblazowanym, że jakieś tysiąc lat przed Chr. wydaje się nieciekawym dniem wczorajszym. Śledzimy natomiast z niezwykłem zainteresowaniem każdy objaw życia w tych zamierzchłych epokach, w których nietylko Grecja i Rzym, ale nawet równie stara Babilonia były krajami głębokiego barbarzyństwa. I dziwi nas, że życie to jest takie do naszego podobne.

Oto np. ceglarze i mularze przy pracy, a tam chłop idzie za pługiem. Narzędzia ich i sposób posługiwania się niemi nie uległy do dziś prawie żadnej zmianie. Natomiast nad ich sposobem wojowania pokiwałby głową lada żołnierz współczesny. Narzędzia mordercze wydoskonaliliśmy w sposób okrutny i umiemy z łatwością zburzyć kulturę ludzką na rozległej przestrzeni. Wszelako nie potrafimy tworzyć takich pomników, jak oni, nie zostawimy po sobie równie trwałych śladów i o żadnej z naszych budowli nie powiedzą tego, co mówi przysłowie arabskie o piramidach: Wszystko boi się czasu, a czas boi się piramid“.

Kultura nasza nie ma też swego sfinksa, któryby leżał na straży dziejów, wykutych w granicie. Od pięćdziesięciu wieków patrzy ten dziwny twór na wschodzące słońce Egiptu. W czasach swej młodości nosił na głowie złoty dysk, w który uderzały pierwsze promienie tego dobroczynnego bóstwa, którego chwałę wyśpiewał Amenofis IV, duchowy brat cesarza Juliana, w najpodnioślejszym hymnie, równym natchnieniem naszemu: „Czego chcesz od nas, Panie“. Sfinks widział jak się do snu wiecznego kładła marzycielska głowa faraona-monoteisty i odprowadzał go „do horyzontu“ smutnym uśmiechem. Widział chwałę państwa staroegipskiego, początki, rozwój i upadek państwa średnio-egipskiego. Przed jego oczyma Hyksosi gnębili lud jego wierny. Wszystkie narody przeszły obok, jedne pomarły, drugie rozproszyły się, inne odmieniły język, narodowość, państwo. Wszelako dla granitowego serca Sfinksa jedno jest ukochanie, jedna żywa dusza — ta zamknięta w hieroglif na bramach świątyń i grobów. I duszy tej więcej niema na świecie. Nikt nie wie, jak kłaniać się Hatorze i jaką modlitwą wzywać Ozyrysa. Z wymalowanych ołtarzy idzie niema ofiara do pustych oddawna niebiosów.

„Egipt“ ks. Szczepańskiego jest książką dobrą, która naszej inteligencji przyniesie mnóstwo rewelacyi. Nie jest wolna od błędów, które wyłuszczać nie tu miejsce, albowiem fachowa krytyka zwróci na nie autorowi uwagę, a on nie omieszka ich poprawić w następnem wydaniu. Szata zewnętrzna książki taka, na jaką nas stać dzisiaj, żeby książka mogła przeniknąć na prawdę do najszerszych warstw i była dostępna w cenie. Bogato ilustrowana daje możność sprawdzenia wywodów autora na licznych rycinach.

Jan Parandowski.

„EURAZJA“.

I.

W drugiej połowie wieku XVI, wraz ze zdobyciem Kazania przez wojska Iwana Groźnego i ostatecznem zrzuceniem jarzma tatarskiego rozpoczyna się zwycięski pochód Moskwy ku dalekiemu Wschodowi i już w r. 1582 kozak Jermak Timofiejewicz ściele Syberję Zachodnia pod stopy cara. Słusznie jednak i nieraz zwracano uwagę na to, że ów pochód w początkach swoich nie był wynikiem jakichś świadomych zaborczych planów ze strony caratu. Wypływał on z natury rzeczy, był konsekwencją nieustających zapasów miedzy mieszkańcami pogranicza, a hordami najeźdźców stepowych, miał znamiona nietylko wojenno-państwowego, ale i rolniczo-kolonizacyjnego przedsięwzięcia. Walka ze stepem wytworzyła Kozactwo, łączace zawód wojskowy z pracą na roli, i ten podwójny charakter Kozactwa sprawił, że walka stale prowadziła za soba posuwanie sie naprzód.

Dopiero w wieku zeszłym zagarnięcie Azji staje sie uświadomionym programem politycznym, opartym na ideowem podłożu dziejowego posłannictwa. W podłożu tem przeważa z początku pierwiastek imperialistyczny, wielko-mocarstwowy, ale na schyłku stulecia szumnie wkracza tam messjanizm. Słowiańska z mowy i wiary Rosja — dowodził kniaź Esper Uchtomskij w r. 1899*) — jest Azja w najwewnętrzniejszej istocie swojej: pod krucha powłoka zachodnio-europejską wszystko w Rosji, we wnetrzu jej bytu narodowego jest przeniknięte, wszystko tchnie głebią wshodnich zapatrywań i wierzeń, wszystko owiane owa żądzą wyższych religijnych form bytu, która chwałe Azji w dziejach świata stanowi“. Rosja to odnowiony Wschód, to przyszłość Azji, tylko z Rosią i przez Rosję zrzuci Azja jarzmo narodów Zachodu.

Wspaniałe marzenie. Ale ten sen człowieka, który za przyjaciela i powiernika cara Mikołaja Uchodził, niebawem miał rząd carski sam własna ręką zburzyć. W roku 1900 Rosja brała udział w ekspedycji karnej państw europejskich przeciw Chinom, pod wodza niemieckiego generała Waldersee, a pod hasłem słów przez niemieckiego cesarza w stanie jakiegoś obłąkanego podniecenia wygłoszonych: **Gefangene werden nicht genommen. Pardon wird nicht gegeben.** Słowa te streszczały rzeczywisty stosunek „cywilizowanej“ Europy do „niecywilizowanej“ Azji. W roku nastepnym zwiedzał Uchtomski Chiny. Przeszło sto wiorst od Tien-Tsinu do stolicy bogdychanów pedził on konno wśród niw potratowanych, ze żniwem, którego mieszkańcy nie mieli możności zebrać, wśród spustoszonych miast i wsi, słowem wśród pustyni, gdzie „nawet psy głodne ze strachem patrzą na mknącego cudzoziemca“. W okrucieństwach zniszczenia zmartwychwstały przed nim epoki Czyngishana i Tamerlana; nie było już miejsca na rojenia o braterstwie Rosji z Azją; w duszy człowieka myślącego ponura wizja bliskiego a strasznego rozrachunku Azji z narodami Europy,—wizja, którą Sołowjew w proroczem natchnieniu kreślił w wierszu **Panmongolizm**, zacierała mesjańskie, panazjatyckie sny.

Chrześcijański spadkobierca Jeremjaszów i Ezechjelów, Sołowjew z przerażającą wyrazistością i jasnością czuł, widział zbliżający się krokiem szybkim koniec Europy, europejskiej cywilizacji: usadowiony zaś na jej zwaliskach panmongolizm wydawał mu się zwiastunem blizkiego końca historji świata. Ale czy stąd, że epoka dobiega do kresu, wypływa wniosek, że po niej już nic nie będzie? Dlaczego pojawieniu się nowego, a potężnego czynnika, jakim jest rasa żółta, mielibyśmy nadawać apokaliptyczne jakieś znaczenie? I przeciw wizji Sołowjewa, której się poddawał w ostatnich pismach swoich tłumacz i kontynuator jego myśli, ks. Eug. Trubecki, podniósł sie protest w młodem pokoleniu.

Azja sie obudziła. Mogą się wznowić stare, jak historja walki dwóch światów. Ale istnieje świat trzeci—Rosja. Opuszczona dziś przez Europę, Rosja nie jest dość silną, ani też dość azjatycką, aby podbić Azję i na czele jej ludów wole swoją Europie narzucić. Wiec zamiast w dalszym ciągu snuć bezmyślne na tle dzisiejszych warunków marzenie o trzecim Rzymie i uniwersalnej monarchii, należy kwestię stanowiska Rosji miedzy Wschodem a Zachodem na realnym gruncie postawić i ja wyjaśnić, biorac za punkt wyjścia, że zasadnicze właściwości obu światów zetkneły sie ze soba w Rosji, która Europa jest i Azją zarazem, czyli, krótko mówiąc, Eurazją.

Myśl ta przewodniczyła autorom zbiorowej książki, która niedawno wyszła w Sofji*). Rewolucja wygnała ich z ojczyzny: tułacze bezdomni, staja oni przed nami, jako przedstawiciele tej reakcji, która z kolei rzeczy po każdym wielkim przewrocie nastepuje.

W roku 1920 widzieliśmy tu w Wilnie Mereżkowskiego i Filosofowa. Wyrwawszy sie z domu niewoli, pedzili na Zachód. Zadanie swoie porównywali z tem, jakie stawiała emigracja nasza po roku 1831. Wystepowali z protestem przeciw gwałtom bezprawia, którego ofiara padła Rosja, głosić mieli krucjate przeciw bolszewizmowi, jako wspólnemu wrogowi ludzkości. W myśli Mereżkowskiego powstawała koncepcja jakiegoś przymierza polsko-rosyjskiego, wierzył w pierwiastki mocy, które w organizm Rosji mogła wlać Polska, bardzej oporna przeciw hasłom bolszewickim i, jeśli nie fizycznie, to duchowo mniej od Rosji wyczerpana wojna.

Ani u nas jednak, ani na Zachodzie nie rozumiano grozy zniszczenia i zagłady, która niósł światu tryumfujący bolszewizm: Rosji pomocy należytej nie dano. Jedno jej wobec tego pozostało: na siebie tylko liczyć, w sobie się skupić. **Poznaj siebie i badź soba**—oto rozwiazanie problematu Rosji, jakie dziś dają młodzi rosyjscy „Eurazjaci“.

„Treścią tej prawdy — czytamy w przed-

*) Por. M. Zdziechowski: „U epoki mesyanizmu“ (Lwów, 1923 r.), str. 83 — 91.

*) Ischod k Wostoku.

mowie — którą Rosja przez rewolucję swoją odkrywa światu, jest odrzucenie (otwierżenie) socjalizmu, a utwierdzenie kościoła".—To drugie — zwrot do Kościoła. — jest zjawiskiem naturalnem, powtarzającem się po każdem wielkiem wstrząśnieniu; w religii zwykł człowiek szukać schronienia i pociechy w nieszczęściu. Ale rzeczą nową, niespodzianą nawet jest odwaga absolutnej negacji, z którą autorowie zwrócili się przeciw bożyszczu religji postępu, przeciw socjalizmowi. Nic podobnego nie znajdziemy w epoce rewolucji francuskiej. Żadnemu z reakcjonistów ówczesnych przez myśl nie przeszło występować przeciw głoszonym przez rewolucję ideałom. Mówiono tylko, że przemycone zostały zn Chrześciaństwa, bezprawnie przywłaszczone i spaczone: jakże przyznać się d otego, że się jest przeciwnikiem wolności, równości i braterstwa. W przeciwieństwie do Francji z r. 1789, bolszewiści rosyjscy postawili na miejscu dalekich ideałów realne hasło dyktatury proletarjatu. Tem samem wykluczyli naukę, inteligencję, zdolności umysłowe z pośród warunków, uprawniających do zabierania głosu w sprawach publicznych. Słuszną w zasadzie ideę demokratyczną doprowadzono w Rosji do absurdu. Biegiem zaś historji kieruje żelazne prawo logicznej konsekwencji; żadna idea nie zejdzie z widowni, dopóki się nie wyczerpie we wszystkich swoich następstwach. W stosunku do idei demokratycznej prawo to już się w Rosji spełniło: absurd stał się tam ciałem, więc w Rosji wyłonić się musi najgwałtowniejszy protest wraz ze zwycięską reakcją przeciw zboczeniom i zwyrodnieniom demokracji.

I to właśnie — w przekonaniu młodej Rosji—stanowić ma jej posłannictwo. Przez nią—dowodzą nam — uświadomi się w sumieniu człowieka, że celem jego nie jest stworzenie doskonałego ustroju społecznego, gdyż ten w warunkach doczesności w żaden sposób urzeczywistnionym być nie może, ale celem tym — indywidualne każdego przebóstwianie. Znamiennem zaś u nich jest to, że owego zwrotu od sfery polityki ku sferze religji dokonać ma Rosja—nie z pomocą Europy, lecz przeciw Europie. Niemoc moralna Zachodu wydaje się im rzeczą oczywistą, jak gdyby zapomnieli czy nie wiedzieli, że myśl, którą głoszą, nieraz głoszoną była na Zachodzie i że swoje najcudowniejsze wcielenie znalazła w osobie tak nawskroś zachodniego człowieka, jakim był kardynał Newman, w przeświadczeniu którego dwa wyrazy wyczerpywały całą rzeczywistość — **Bóg** i moje **ja (My Creator and myself)**, wszystko zaś poza tem — cały świat zewnętrzny — wydawało mu się przywidzeniem jakiemś, marą i gwałt myśli swojej zadawać musiał, aby w rzeczywistość mary tej uwierzyć...

Takie przeciwstawianie się Zachodowi ze strony antybolszewickiej, przez bolszewizm sponiewieranej, dręczonej i deptanej Rosji tłumaczymy głębokiem jej rozczarowaniem z powodu wykazanej przez Europę nieszczerości i połowiczności w zwalczaniu bolszewizmu. Ale jest w tem także hypnoza, jest magnetyzujące działanie huraganowego, niszczycielskiego rozpędu rewolucji. Niejeden Rosjanin przeklina ją, ale zarazem przejmuje go zabobonny przed nią strach, strach graniczący z kultem. W rozprawie pana Suwczyńskiego „Zwrot ku Wschodowi" czujemy nawet ukrytą jakąś dumę, że widoku takiej rewolucji żaden dotąd naród nie dał światu.

„Bo czemże — woła on — była rewolucja francuska w porównaniu z dzisiejszą, rosyjską! Szalała na przestrzeni 50.000 kil. kwadr., w kraju z 25 milionową ludnością: rosyjska obejmuje 20 miljonów kilometrów kwadratowych ze 150 miljonami mieszkańców. Koalicji udało się w 1814-15 uśmierzyć Francję i ją okupować, ale gdzie ta koalicja, któraby zdołała uśmierzyć i okupować Rosję? „Rewolucja francuska stanowi epizod w historji Europy, rewolucja rosyjska jest nietylko epizodem..." „w swoim pozornym niebycie Rosja staje się ideologicznem centrum świata". Rewolucja pozapalała w niej inkwizytorskie stosy, dymem swoim zasłaniają one niebo, lecz trzeba wierzyć, że u stosów tych powstaną nowe wielkie natchnienia, że płomieniami ich zapłonie dusza każdego Rosjanina, bez względu na to, czy należy on do wygnańców, czy do tych, którzy wyganiają. Niema tu winnych; wszyscy jednako są usprawiedliwieni przed ojczyzną, gdyż wszyscy ogniem swoim zarażają Europę i gotują Rosji chwałę, jakiej jeszcze nie zaznała.

Widok człowieka oszalałego z bolu i w nieprzytomnej ekstazie całującego rękę kata, co mu ów ból zadaje, budzi uczucie dotkliwego niesmaku — i rozprawę tego fanatyka Rosji o wybitnie polskiem nazwisku notujemy tu, jako szczegół, rzucający charakterystyczne światło na psychikę rosyjską w chwili obecnej. Sądzimy, że ten protest przeciw bolszewizmowi, przechodzący niepostrzeżenie dla autora w hymn na cześć bolszewizmu, znalazł miejsce w manifeście eurazjatystów, jako dokument, jako świadectwo zniechęcenia do Zachodu. Inni współpracownicy książki, bardziej zrównoważeni i ostrożni, zamiast wylewać żale lub polemizować z Zachodem, poprzestali na zaznaczeniu faktu, że nie od dziś dają się słyszeć z ust przedstawicieli jego, nie zaś z wrogich im obozów, złowieszcze proroctwa, którym wojna narodów dała straszliwe potwierdzenie.

(C. d. n.)

M. Zdziechowski.

ROZDŹWIĘKI POZNAŃSKIE.

Między Warszawą a Poznaniem od dłuższego już czasu zauważyć się dają pewne rozdźwięki, hamowane zgrzyty, przechodzące w stan chroniczny zadraźnienie stosunków. Raz przycichają one, to znowu wybuchają ze zdwojoną siłą. Kto winien i czy rzeczywiście różnice międzydzielnicowe są tak wielkie, że wykluczają możność wzajemnego porozumienia się i zgody?

Zaczęło się to niemal od pierwszych chwil istnienia niepodległej Polski, kiedy w b. Kongresówce i Galicji władzę zagarnęli socjaliści i—rozpoczęli krótki, ale w skutkach swych nieprzebrzmiały okres urządzania Polski według socjalistycznego szablonu.

Hasła socjalizmu nie miały żadnego powodzenia w Wielkopolsce, która pod względem nastroju patrjotycznego mas stała o wiele wyżej od innych dzielnic. Obok patrjotyzmu należy zaznaczyć jeszcze tkwiące głęboko wśród tutejszej ludności poszanowanie prawa i poczucie ładu społecznego. Zaszczepili je—być może wbrew swej woli — Prusacy w ciągu 150-letniego swego panowania. Objaśnia się to tem, że przeciwko uciskowi germanizacyjnemu Wielkopolanie nie mieli innej broni, niż odwoływanie się do prawa: ludność polska mogła się bronić przeciwko nadużyciom niemieckim jedynie na drodze legalnej, stojąc twardo na gruncie prawa i protestując przeciw wszelkim jego pogwałceniom przez ciemiężycieli. To ciągłe powoływanie się na prawo, jako na jedyną obronę, miało ten rezultat, że wyrobiło wśród ludności głęboki kult dla prawa. Co się zaś tyczy dyscypliny społecznej, to, mając ją we krwi, Niemcy bez trudu zaszczepili ją tutejszemu społeczeństwu.

Tymczasem to, co się wówczas działo w Kongresówce, było antytezą prawa i porządku. Tu—bezwzględna solidarność narodowa; tam — zwalczające się partje i partyjki. Tu—porządek i ład społeczny; tam—anarchja, paskarstwo, łapownictwo, rozdrapywanie grosza publicznego. Były to wiekopomne rządy chaosu, które, jak z rogu obfitości, sypały wszystkie klęski na zbiedzoną Polskę.

Instynkt samozachowawczy nakazywał Wielkopolsce bronić się przed płynącemi z innych dzielnic prądami destrukcyjnemi. Zaprowadzono więc kordon graniczny, kontrolowano niepożądanych przybyszów. Przytem lud wielkopolski zanadto stał wysoko pod względem oświatowym i zanadto był uświadomiony narodowo, by poddać się bezkrytycznie nakazom owych przybyszów. Inde ira. Stąd zarzut zacofania i separatyzmu, który pierwsi rzucili Poznańczykom zawiedzeni w swych nadziejach socjaliści.

Bowiem dla doktrynerów socjalistycznych, jak i dla wszelkich innych, ich nauka jest alfą i omegą mądrości życiowej. Kto tej nauki nie uznaje, ten jest zacofańcem, wstecznikiem, endekiem.

Socjalistom wtórowali żydzi. Może z innych, mniej doktrynerskich, ale zato bardziej realnych pobudek. Za wyjątkiem bowiem Wielkopolski, cała reszta Rzeczypospolitej jest już doszczętnie zażydzona. Są tam osady i miasteczka, gdzie procent żydów przekracza 90.

Jedna tylko Wielkopolska dotychczas skutecznie broni się przed tym zalewem. Dlaczego? Oto dlatego, że żydzi najłatwiej wzmacniają się wśród społeczeństw ciemnych i ekonomicznie słabo rozwiniętych, a więc najmniej odpornych. Tymczasem tutejsza dzielnica, która również i pod względem gospodarczym stoi wyżej od innych, nie przedstawia odpowiedniego terenu dla ich ekspansji.

Oczywiście, działacze żydowscy musieli szukać innego wytłumaczenia powyższego zjawiska. I znaleźli je bez trudu. Wielkopolska odrazu stała się twierdzą obskurantyzmu i reakcji. Ponieważ nadto Wielkopolska doskonale obywa się bez żydów, więc okrzyczano ją jako uosobienie szkodliwego separatyzmu dzielnicowego.

Tak tedy przylgnęła do Wielkopolski opinja dzielnicy zacofanej, reakcyjnej i separatystycznej. Opinję tę Warszawa przyjęła bez zastrzeżeń, traktując ją niemal tak, jak się traktuje jakiś aksjomat, nie ulegający żadnej wątpliwości, ani nawet dyskusji. Naogół bowiem Warszawa nie zna stosunków, panujących na tak zwanej „prowincji“ i, co gorsza, stosunkami temi zgoła się nie interesuje, poznać ich nie pragnie.

Przeciętnemu warszawiakowi wystarcza, gdy od czasu do czasu przeczyta w prenumerowanym przez siebie dzienniku stołecznym jakąś korespondencję z Poznania, Krakowa lub Lwowa, z której przeważnie dowiaduje się, co grano w tamtejszych teatrach. O życiu umysłowem, kulturalnem i gospodarczem prowincji, o jej potrzebach i żądaniach —nic nie wie, bo i prasa warszawska, zajęta robieniem „wielkiej“ polityki, a przedewszystkiem walką partyjną, nie ma czasu ni miejsca na informowanie go o tem wszystkiem.

Najważniejsze kwestje — że wspomnę choćby kwestję niemiecką, mającą pierwszorzędne znaczenie nie tylko dla Wielkopolski, jako bezpośrednio nią dotkniętej, ale dla całego naszego państwa— dla Warszawy tak jakby nie istniały. Niemcy rozumieją dobrze jej doniosłość dla siebie i dla Pol-

O pogłębienie stosunku do religji.

(Dokończenie)

Na czem polega pedagogika w dzisiejszej Polsce odnoszenie do dziedziny religji?

Odpowiedź na to streścić można w zdaniu, że właśnie na rozwijaniu z momentów wstępnych twórczej świadomości religijnej, czyli takiej, która się wyraża w ogarnianiu i prześwietlaniu najżywotniejszych spraw, obchodzących człowieka i społeczeństwo i w stosunku do życia idącym naprzód i wzwyż.

Kwestja pogłębienia poglądów na wartości religijne i dalej — rozwijanie pełnej świadomości z przejawiających się zaczątków uczuciowych— może się u nas w Polsce spotkać narazie z bezpodstawnem podejrzeniem o wkraczanie na teren działalności duchowieństwa i konfliktów międzywyznaniowych. Wynika to z istniejących do niedawna anormalnych warunków, o których powyżej była mowa, a które odsuwały społeczeństwo od zagadnień tego rodzaju. W rzeczywistości niemasz tu żadnych przyczyn do nieporozumienia lub zadrażnienia. Religijny rozwój Polski, mający na celu twórczy stosunek do życia, nie może się odbywać pod hasłami mniej lub więcej abstrakcyjnego deizmu. To nie wystarcza. Dokonywać się to musi na konkretnym gruncie chrześcijaństwa, jako religji, z którą się wiąże cała budowa kultury naszej i w której znajdują się czynniki niezastąpione pod względem impulsu do zrealizowania ideałów. Ale — znowuż z punktu widzenia rozwoju w tej dziedzinie całego narodu, ten charakter chrześcijański nie może być utożsamiany z dyskusją na temat różnic wyznaniowych w łonie samego chrystjanizmu i propagandą w tym lub owym kierunku. Olbrzymia większość społeczeństwa polskiego jest i pozostanie katolicką, są jednak mniejszości, należące do innych wyznań, cenne osobistą i naro-

ski, piszą o niej i piszą, rozgłosili się już po całym świecie, podając ją, oczywiście, w oświetleniu niemieckiem, t. j. fałszując prawdę i przekręcając fakty. A w prasie warszawskiej nie udało mi się znaleźć ani jednego artykułu, któryby tę kwestję gruntownie potraktował, ani jednego bodaj przedruku z gazet poznańskich, których przecież Warszawa wcale nie czyta.

Ta nieznajomość tutejszych nastrojów i stosunków i wynikająca stąd nieufność względem Wielkopolan zauważyć się dają nawet wśród naszych sfer urzędowych. Często ma się wrażenie, jak gdyby w tych sferach umyślnie ich unikano lub bojkotowano. Jak gdyby byli na czarnej liście obywateli, nie zasługujących na zaufanie. Bo czyżby, naprzykład, był to objaw przypadkowy, że oprócz tutejszego ministerjum, którego istnienie liczy się w tej chwili na dnie, w łonie teraźniejszego gabinetu niema ani jednego ministra poznańczyka. Poza tem z liczby dwudziestu kilku podsekretarzy stanu niema również ani jednego; wśród dyrektorów departamentów i samodzielnych kierowników różnych urzędów — ani jednego; wśród naczelników wydziałów — zdaje się jeden; w Kontroli Państwa, Głównym Urzędzie Ziemskim, Głównym Urzędzie Likwidacyjnym i innych centralnych urzędach — ani jednego. To samo,poza byłym zaborem pruskim, wśród wojewodów i starostów — nigdzie ani jednego. Twierdzą, że nie mamy ludzi. Lecz gdy który z tutejszych urzędników się zgłosi, przyjmą go mniej lub więcej uprzejmie, lecz na tem zwykle się kończy: nie raczą mu potem nawet odpowiedzieć... A tymczasem poznańczycy, którzy przeszli systematyczną szkołę pruską, mogliby na wielu polach, szczególnie w organizacji i administracji państwowej, okazać się nader cennym i pożytecznym nabytkiem.

Przy takiej ekskluzywności trudno mówić o zobopólnem zbliżeniu się i o szybkiem zatarciu różnic międzydzielnicowych. Obecnie, gdy z chwilą unifikacji zniknie odrębne ministerjum b. dzielnicy pruskiej, wyłania się nowe zasadnicze pytanie: kto będzie informował władze centralne o potrzebach i żądaniach tej dzielnicy i jak się te władze będą w nich orjentowały? Nie można dopuścić, aby decyzje o Wielkopolsce zapadały bez udziału Wielkopolan, bo zdarzyć się może, że mimo najlepszych intencji czynników miarodajnych, będą one z gruntu fałszywe i szkodliwe, władze wskutek nieorjentowania się władz w tutejszych stosunkach, a często nawet wskutek nieznajomości tutejszych odrębnych urządzeń i przepisów prawnych. Dla uniknięcia tego zdawałoby się koniecznem utworzenie — przynajmniej narazie — jakiegoś organu doradczego, któryby nietylko informował władze o potrzebach dzielnicowych, lecz zarazem podawał sposoby ich załatwiania. Jeśli istnieją rady finansowe, kolejowe i inne, bez ujmy dla kompetencji właściwych ministerjów, dlaczegóżby nie miała istnieć jeszcze jedna rada — dla spraw wielkopolskich?

Gdyby Warszawa bardziej interesowała się Wielkopolską, gdyby ją naprawdę poznać pragnęła, rozwiałyby się jak mgła te uprzedzenia, które— jakem to wyżej wyjaśnił — tendencyjnie jej narzucono, a które bynajmniej nie odpowiadają rzeczywistości.

Jakież to bowiem są zarzuty? Zacofanie? Polska Abdera czy Beocja? Jeśli kiedykolwiek zarzut ten mógł być słusznym, to w każdym razie nie w chwili obecnej. Nie przeczę, że za czasów niemieckich życie umysłowe polskiego Poznania płynęło ciasnem korytem. Był to objaw smutny, ale całkiem naturalny, wynikający ze specjalnych warunków, w jakich żyło wtedy społeczeństwo wielkopolskie. Walka o byt narodowy pochłaniała całą jego uwagę, wszystkie siły żywotne. Poziom uświadomienia narodowego wzrastał, ale działo się to kosztem ruchu umysłowego, kosztem wszelkich wyższych porywów kultury duchowej, które skazane były niemal na zagładę. Dusze kurczyły się coraz bardziej. Walka polityczna i program pracy organicznej skrępowały skrzydła ideałów ogólnoludzkich, wykreślonych — zdawało się na zawsze — z repertuaru życia codziennego.

Otóż nie na zawsze. Zaledwie odszedł niemiecki ciemięzca, zaledwie opadły kajdany, Poznań przypomniał sobie dawne tradycje Libeltów, Estkowskich, Moraczewskich, kiedy to między rokiem 1830 a 1860 Poznań stanowił jedno z najważniej-

---

ogólnym wysiłku ku podniesieniu życia jest koniecznym, wyeliminowanie byłoby uszczerbkiem.

Przejęcie się podstawowemi i powszechnemi wartościami chrystjanizmu nietylko nie przeszkadza następnemu ich zrealizowaniu w ramach odnośnego Kościoła, ale przeciwnie przebieg ten pogłębia, rozgrzewa i zasila.

Społeczeństwo, które przywykło religję swoją identyfikować niemal całkowicie z jej formalną stroną, a uczucia z tej dziedziny, tam nawet gdzie były istotne i szczere, wyładowywać raczej w starciach międzywyznaniowych, niźli w budowaniu wewnętrznego życia, powinno dzisiaj być nakłanianem właśnie do wnijścia wgłąb, do ukochania treści tych rzeczy.

Treść chrześcijaństwa, że dotkniemy tu jeno niektórych wartości z tej olbrzymiej skarbnicy, daje nam ten niezmiernie ważny punkt orjentacyjny wobec dzisiejszego chaosu, jakim jest pojęcie bezwzględnej o d p o w i e d z i a l n o ś c i człowieka. Z rzetelnego zastosowania tego pojęcia wynika nietylko kierownictwo czynami własnemi, ale i s i ł a t w o r z e n i a, albowiem zasada ta stanowi nieodzowny warunek p r a w d z i w e j twórczości.

W następstwie przeniknięcia się przez jednostkę odpowiedzialnością własną, czyli głosem sumienia, pojawia się natychmiast moment s p o ł e c z n y, którego doniosłości w chrześcijaństwie oficjalni wyznawcy tak często nie rozumieją, albo, co gorsze, rozumieć nie chcą.

Do chrystjanizmu przedewszystkiem stosują się te głębokie słowa Cieszkowskiego: „Religja nigdy nie jest czysto osobistym, nigdy prywatnym tylko żywiołem, lecz owszem zawsze w najwyższym stopniu s o c j a l n y m, zawsze uspólniającym“.

W dzisiejszej przełomowej chwili i wobec budzącego się zwrotu religijnego na tę oto, z umy-

szych ognisk życia umysłowego w Polsce, grupując w swych murach wielki odłam polskiej emigracji porewolucyjnej. Pomimo tyloletniego ucisku germanizacyjnego, tradycje te były zbyt silne, aby odżyć nie miały. Jakoż odżyły. W monumentalnych gmachach, wzniesionych przez pychę niemiecką i mających służyć wiecznem świadectwem panowania niemieckiego na polskiej ziemi, ulokowała się Alma Mater Posnaniensis, która ściąga słuchaczy ze wszystkich dzielnic Rzeczypospolitej. Zespół profesorów — ludzi przeważnie jeszcze młodych — pracuje intensywnie na wszystkich polach wiedzy. Przytem profesorowie nie zasklepiają się wyłącznie w aulach i pracowniach naukowych, lecz pełną garścią sypią ziarna wiedzy wśród publiczności poznańskiej. Odczyty, konferencje, wieczory dyskusyjne. Publiczność chętnie na nich bywa i, co najważniejsza, jest nader wdzięcznym objektem dla prelegentów, bo słuchać umie. Niezależnie od tego, szczupłe kółko wybranych gromadzi się dwa razy na miesiąc na słynnych już wieczorach czwartkowych u rektora dr. Święcickiego. Poruszane tam bywają — najpierw w formie odczytów, a potem dyskusji — najrozmaitsze tematy. Koło wybranych rośnie coraz bardziej. Przypominają się najświetniejsze czasy salonow warszawskich, z epoki Królestwa Kongresowego.

Poznań stał się nie tylko miastem uniwersyteckiem, lecz szybkiemi krokami zdąża do tego, aby stać się także jednym z najpoważniejszych ośrodków umysłowości polskiej. Przyczyniają się do tego liczne towarzystwa naukowe i oświatowe, tudzież szereg instytucji kulturalnych — że wspomnę tylko Tow. Przyjaciół Nauk, Muzeum Wielkopolskie, Muzeum Mielżyńskich, bibljotekę Raczyńskich, uniwersytecką i inne. Istnieją cenne zbiory prywatne, np. galerja obrazów p. Rosińskiego, wspaniałe zbiory etnograficzne p. Cichowiczowej albo najbogatsza w kraju kolekcja autografów i dokumentów polskich, należąca do niżej podpisanego. Rozwija się konserwatorjum muzyczne pod umiejętnem kierownictwem prof. Opieńskiego. Urządzane są koncerty symfoniczne. Nie szczędzi się środków na utrzymanie na wysokim poziomie artystycznym tutejszej opery i teatru. Jeśli dodamy do tego żywy ruch dziennikarski, który zdołał stworzyć kilka doskonale redagowanych i bardzo poczytnych gazet („Kurjer Poznański" bije trzydzieści kilka tysięcy egzemplarzy), i powstające w ostatnich czasach coraz to nowe czasopisma, np. „Ruch Prawniczy i Ekonomiczny", „Przegląd Administracyjny", „Przegląd Wszechpolski", „Strażnica Zachodnia" — to musimy przyznać, że w ciągu niespełna trzech lat w dziedzinie umysłowej i kulturalnej zrobiono zadziwiająco wiele. W tych warunkach urągliwe miano „Beocji", przyczepione do Wielkopolski, stało się conajmniej anachronizmem, zużytym rupieciem, który należałoby czem prędzej złożyć do lamusa wspomnień po niedawno minionej a tak smutnej dla polskiego Poznania przeszłości.

Tak samo nieuzasadniony jest drugi zarzut, imputowany Wielkopolsce — zarzut reakcji politycznej. Faktem jest, że na obszarze krajów, zamieszkałych przez ludność polską, niema drugiego zakątka ziemi, w którymby poziom uświadomienia narodowego był tak wysoki, jak w Poznańskiem. Objaśnia się to naturalną reakcją przeciwko uciskowi germanizacyjnemu, który srożył się tutaj z taką zaciętością. Przeciwko zalewowi germanizacji poznańczycy budowali tamy przedewszystkiem we własnych duszach, przepajając je ideałami narodowemi. Ale, wbrew twierdzeniom żydów i socjalistów, piastowanie ideałów narodowych — to nie jest jeszcze reakcja. W Anglji, Francji, Niemczech socjaliści są narodowcami i uważają to za rzecz całkiem naturalną. U nas tylko elementy obce i wrogie, w celu zniszczenia polskości, starają się zohydzić wszystko, co polskie, a więc ochrzciły mianem reakcji wszystko, co narodowe. Zresztą ze smutkiem codziennie stwierdzamy, że dawny jednolity front narodowy w Wielkopolsce przechodzi coraz bardziej do przeszłości. Wytężona praca elementów destrukcyjnych, przeważnie napływowych, zrobiła swoje. Wielkopolska w tej chwili jest takim samym terenem zażartych walk partyjnych, jak i inne dzielnice.

Wreszcie najcięższa artylerja — zarzut separatyzmu. Jednakowoż znowu jest faktem, że sto pięćdziesiąt lat rozdziału i specjalne warunki, w jakich żyła i rozwijała się Wielkopolska nie mogły pozostać bez śladu. Przeciwnie, wywarły one wpływ

---

siu niedocenianą lub przeoczaną, wielką wartość położyć trzeba nacisk szczególny.

Fałszowaniem istoty chrystjanizmu jest czynienie zeń „konserwatora" pewnego specjalnego ustroju społecznego, który stał się dogodnym dla interesów tych albo owych grup. Kto się zwraca do chrześciaństwa li tylko z pobudek „znużenia powojennego", ten skłonnym być może do przyjęcia tego rodzaju „socjalnej miary" na równi z innemi formułami, które mają rzekomo rozwiązywać wszelkie trudności i są przemycane pod imieniem Bożem, zaiste „wzywanem nadaremnie". W skłonności takiej, o ileby się stała dość powszechnym objawem, tkwiłoby najpoważniejsze niebezpieczeństwo sprowadzenia całego ruchu do tragicznej oscylacji wahadła. Natomiast ci, którzy przy zwrocie do chrystjanizmu powodowani są pragnieniem twórczego opanowania życia, znajdą w religji tej właśnie czynnik wprost nieskończonego postępu.

Chrześcijaństwo z istoty swojej żadnych prób na polu reform społecznych potępiać nie może tylko dlatego, iż są śmiałe i chcą iść daleko; samo bowiem, rzetelnie pojęte, posiada śmiałość największą i jest w założeniu swojem, jeśli tu użyć tego wyrazu, „programem" społecznym najbardziej zdeklarowanym, najdalej idącym i w stosunku do dzisiejszej [illegible] naszego świata zgoła najmocniej „wywrotowym", albowiem dąży do sprowadzenia na ziemię Królestwa Bożego. Jedyną oceną, której w imieniu religji chrześcijańskiej naprawdę używać się godzi przy kwalifikowaniu dążeń reformatorskich, jest sprawdzian miłości i sprawiedliwości. A wiadomą jest rzeczą, iż właśnie uczciwe i konsekwentne stosowanie tych idei wymaga najśmielszych zmian w ustroju społecznego życia.

głęboki na całą psychikę Wielkopolan. Stworzyły nadto odrębny ustrój prawodawczy, sądowy, administracyjny i gospodarczy. Faktu tego z dnia na dzień nie można usunąć i z faktem tym, przy wszelkich poczynaniach unifikacyjnych, należało się liczyć.

O ile chodzi o unifikację rozumną i opartą na zdrowych zasadach narodowych, o żadnym separatyzmie nie może być mowy. Wielkopolska wszelkiemi siłąmi dążyć do niej będzie, albowiem, wbrew twierdzeniom lewicowców, w Poznańskiem niema separatyzmu dla separatyzmu. Natomiast panuje tutaj głęboko zakorzeniona nieufność do innych dzielnic, ze względu na stosunki w nich panujące. Gdyby te dzielnice miały do wymiany i przeniesienia na grunt poznański jakieś wartości dodatnie, a nie same ujemne, poznańczycy byliby pierwszymi unifikatorami. Tymczasem tak, jak jest, nie chcą zamieniać rzeczy lepszych na gorsze. Jest to objaw całkiem naturalny i uzasadniony, z którego nikomu nie można robić zarzutu.

Wśród ludności wielkopolskiej utarło się mniemanie, że wszystko złe płynie z innych dzielnic — i anarchja społeczna i państwowa, i zgnilizna moralna, i szkodnictwo narodowe. Ogół nie zastanawia się nad przyczynami, nie bierze rzeczy głębiej, lecz sądzi z objawów zewnętrznych. Skoro więc widzi, że z chwilą zniesienia sekwestru i kordonów granicznych rozpoczęły się orgje paskarstwa i drożyzny — radby przywrócić te kordony. Skoro komunizm szerzy się gwałtownie, a agitatorami komunistycznymi są przybysze z innych dzielnic — zwraca się przeciwko tym przybyszom, tym „galicjakom z Kongresówy“, jak ich pogardliwie nazywa. Ot i teraz — nowa fala strajków. Już miano dojść do porozumienia. Aliści przyjechali „delegaci z Warszawy“, narzucili nowe warunki i — rokowania się rozbiły.

Rozgorycza to społeczeństwo wielkopolskie, wzbudza w niem nieufność, ale zarazem jest wskazówką, że należy działać tak, aby gorsze zamieniać na lepsze, a nie odwrotnie. Należy usuwać wszelkie rozdźwięki, a w tym celu dążyć do wzajemnego poznania się, porozumienia, usunięcia uprzedzeń i nieufności.

Poznań. **Kazimierz Kierski.**

LIST DO REDAKCJI.

Może redakcja „Tygodnia Polskiego“ zechce uzupełnić artykuł p. Leona Kozłowskiego „Rewolucja rosyjska i niepodległość Polski“ następującą notatką:

Dla Polaków zamieszkałych w Petersburgu i Moskwie nie podlegało żadnej wątpliwości, że akt 30 marca rządu tymczasowego rosyjskiego powstał z jego własnej inicjatywy a nie na mocy interwencji rządu angielskiego, jak to doskonale udowodnił p. Leon Kozłowski.

„Lecz skąd się wziął w akcie 30 marca punkt o „mniejszościach narodowych“? Miliukow oświadczył p. Lednickiemu, że tego „na radzie ministrów zażądał Kiereński“. Pozwalam sobie zakwestjonować szczerość p. Miliukowa. Na zebraniach polsko - rosyjskich, które miały miejsce w mojem mieszkaniu cała lewica rosyjska zaczynając od kadetów stawiała jako warunek dobrych polsko - rosyjskich stosunków, że tak powiem, ugodę polską - żydowską. Jedyny Kiereński na każdem z tych zebrań ! bronił tezy Polaków, że Rosjanie nie mają najmniejszego prawa wtrącać się do tej sprawy. Miliukow zaś na wszystkich tych zebraniach zawsze dowodził przeciwnej tezy. Otóż jestem pewny, że kiedy nie sam Miliukow, to w każdym razie nie Kiereński poruszył na posiedzeniu rady ministrów sprawę o mniejszościach narodowych. Zatem nie należy ignorować, że i śród konserwy rosyjskiej były głosy o zmianie polityki rządowej względem Polski. W 1908 r. pojawiła się broszurka ks. Światopełk Mirskiego (skrajny konserwatysta), w której dowodził konieczności odebrania od Prus i Austrji wszystkich ziem polskich z Gdańskiem, Pomorzem, Mazurami i stworzenia autonomicznej Polski, ale naturalnie pod opiekuńczem skrzydłem dwugłowego orła. Broszurka ta została po raz drugi wydana w Petersburgu w 1915 r., zjednała pewien rozgłos i jej autor został wybrany jako członek do słynnej komisji 12 przy Radzie Państwa. Moja odpowiedź na tę broszurę, gdzie dowodziłem, że bez niepodległości Polski nie może być przyjaźni szczerej Polaków z Rosjanami, była wydrukowana w gazecie „Nowoje Zwieno“ Brianczaninowa. **Konrad Niedźwiecki.**

Postępowy charakter chrystjanizmu pojęli głęboko tacy wielcy myśliciele i obywatele polscy, jak Mickiewicz i Cieszkowski. Uwydatnili w tem, za pośrednictwem swych genialnych indywidualności, najbujniejszą narodową zdolność do życia.

Jak tu już wspamniałam, nie przejmie się naród religją tak. aby mu doskonaliła wszystkie stosunki życiowe, pokąd w wyrażeniu jej nie pocznie wypowiadać i rozwijeć cech swojej indywidualnej duszy. Polska posiadła zarysy swego religijnego oblicza w myślach i dziełach tych swoich największych synów, którzy po upadku i rozdarciu Ojczyzny szukali Prawdy, dającej moc zwycieżenia śmierci i odrodzenia bytu. Sformułowało się wtedy to pojęcie Cieszkowskiego: „Religja nie jest samym tylko katechizmem, ani też tylko symbolicznym obrządkiem, ani też tylko prawidłem moralnem, ani też, słowem, znowu żadnem „tylko“, lecz owszem jest całą spełnią wiedzy, czucia i woli ku absolutnym celom Ducha skierowanych. — Religja więc to absolutny związek i obowiązek Wszechżycia...“

Następny okres wyjałowienia odsunął w czasową niepamięć ten wyłaniający się własny stosunek Polski do największej sprawy życiowej. Jednakże w spuściźnie narodowej istnieje to świadectwo, iż jesteśmy uzdolnieni do wypowiedzenia w tej dziedzinie swojego słowa i wykazania swojego czynu. Dzisiejsza epoka odrodzenia wymagać będzie podjęcia wszystkich wątków przerwanych i wytężonej pracy nad spełnieniem wszystkich obietnic, które Narod uczynił samemu sobie. Bowiem wszelka chluba z przeszłości należy się tylko takiemu pokoleniu, które odczuć ją umie jako odpowiedzialność wobec przyszłego czasu.

Jadwiga Marcinowska.

LITERATURA I SZTUKA.

BRACIA THARAUD.

Twórczość Hieronima i Jana Tharaud jest najdoskonalszem chyba, jakie istnieje w literaturze, urzeczywistnieniem współpracownictwa. Daremnie próbowalibyśmy odgadnąć, co każdy z nich wniósł do niego. Widzieliśmy zawsze ich wspólną jedynie fizyonomię literacką, czytaliśmy ich wspólne produkcje, nigdy chyba jednej choćby rzeczy, o której moglibyśmy powiedzieć z całą pewnością, że wyszła z pod pióra Hieronima tylko lub wyłącznie Jana. Przybywszy z rodzinnej Charente do Paryża, obydwaj bracia prowadzili, o ile się zdaje, jednakowe studya i przeszli obydwaj przez Szkołę Normalną. Po wyjściu z niej jeden z nich wykładał przez jakiś czas literaturę francuską na uniwersytecie w Budapeszcie. Jeśli jednak rozstali się wówczas, to z pewnością nie na długo. Nic nie przerywa odtąd ciągłości ich spółpracy. Są nawet wspólnie w pewnym okresie sekretarzami Barrès'a. Omawianie każdego utworu od początku do końca w najdrobniejszych szczegółach odgrywa w nim rolę ważniejszą jeszcze od samego aktu pisania. Dwaj bracia obmyślają razem swe dzieło, wżywają się w nie wspólnie w toku długich dyskusji i rozmów. Z zespołu przedyskutowanych w taki sposób osobistych spostrzeżeń każdego z nich urabia się ich wspólna wizja i wspólny nastrój, powstaje zasadniczy ton i atmosfera książki. Mogą już przystąpić do wykonania. Współpraca trwa nadal w całej pełni. Gdy jeden dyktuje, drugi pisze, przerywając i wtrącając swoje uwagi. Po skończeniu zaczyna się wykończanie. Szkicowa jeszcze i bezkształtna pierwsza wersja powraca na warsztat. Jeden z braci czyta na głos, obydwaj modyfikują wspólnie. Niektóre rzeczy, jak np. *La Maîtresse-servante*, jeden z najdoskonalszych utworów tej spółki pisarskiej, były tak pisane, poprawiane i przerabiane po *kilkanaście razy*, nim stanęły na wysokości wymagań autorów. Inne, jak *Dingley, l'illustre écrivain*, książka, która zdobyła im sławę i była utworem nagrodzonym przez Akademię Goncourt'ów, uległy zmianom już po ukazaniu się w handlu księgarskim.

„Toż to Sallustyusz", zawyrokował Péguy z powodu jednego z ich utworów. To w każdym razie niezaprzeczenie dążenie do jaknajwiększej jasności i precyzji przy największej zarazem zwięzłości. Precyzja braci Tharaud dokonywa równie przenikliwego, jak dyskretnego wyboru wśród najistotniejszych już szczegółów, pozostawiając te tylko, które uwypuklają zasadniczą treść ich myśli. Umieją skreślić w kilku rysach duchowe kontury wprowadzanych przez się postaci, wydobyć w kilku wierszach cały charakter jakiegoś krajobrazu. Doborowi szczegółów towarzyszy nie mniej troskliwy dobór słów. Wszystko podporządkowuje się tu bezwzględnie artystycznym założeniom autorów, ich dążeniu do osiągnięcia jak największej intensywności wyrazu przy największej oszczędności środków. Twarda dyscyplina, której poddali się dobrowolnie, wydała pożądane plony. Wpośród tylu talentów, jakie ujawniła twórczość francuska w okresie, na który przypada ich twórczość, i mimo nadzwyczajne wyrobienie i giętkość ekspresji, cechujące przeciętnych nawet pisarzy francuskich, proza braci Tharaud wyróżnia się jeszcze dobitnie swoją doskonałością i swojem całkowitem dostosowaniem do przedmiotu dzieła, dyktującego jego ton i nastrój. Wyróżnia się tak bardzo, że już od pierwszych prawie ich wystąpień na arenie pisarskiej postawiła ich w rzędzie najautentyczniejszych w tym kierunku spadkobierców wielkiej tradycji francuskiej. Mówię: od pierwszych prawie, bo niema tu właściwie powolnego dojrzewania, ewolucji. Zaledwie coraz większe doskonalenie się. Jeden z krytyków francuskich zauważył słusznie, że bracia Tharaud nie mieli właściwie młodości jako autorowie. Są odrazu niemal dojrzali, odrazu świadomi swych celów, a wytrwała wola i niezawodzący zmysł krytyczny ułatwiają im znakomicie ich przeprowadzenie. Mają dziś już wyznaczone miejsce w przyszłych antologjach prozy francuskiej wpośród pisarzy, którzy zbliżyli się najwięcej do jej klasycznych wzorów przez harmonijne skojarzenie dyskrecji, miary i smaku.

Taką jest forma. Przypatrzmy się teraz wewnętrznej istocie tej twórczości.

Treść nie jest tu wtłoczona w kunsztowne ramy obcej poniekąd formy; wyraz nie jest piękną arabeską, nałożoną na tkaninę nie domagającą się jej zgoła. Jest takim, jakiego wymaga, zdaniem autorów, logika wewnętrzna treści i nagina się do jej nakazów. Pozwala to określić już zgóry pewne cechy tej twórczości. Wykluczona jest z niej z konieczności wszelka samorzutność, a wraz z nią wstrząsające do głęki wzruszenia, porywy uczucia. Nie należy szukać w niej liryzmu, ani fantazji. Czy jednak mamy stąd wnioskować o zacieśnieniu horyzontów twórczych autorów. Bynajmniej. Zaciekawienia braci Tharaud prowadzą ich w bardzo wielu kierunkach. Ale książki ich zwracają się więcej ku umysłowi niż wrażliwości. Stawiają nas najchętniej wobec zagadnień rasowych, religijnych, narodowych. Rzadko bardzo są dziejami indywidualnych przeżyć wprowadzanych do nich postaci. Fabuła powieściowa jest w nich naogół nikła, nieraz nieistniejąca. Miłość nie odgrywa w nich prawie żadnej roli.

Akcja jednej z pierwszych już nowel p. t. *Bar-Cochebas* rozgrywa się nad brzegami Dunaju. W dziejach Dingley'a, w którym dopatrywano się portretu Kiplinga, a który jest w każdym razie typowym wyobrazicielem imperjalizmu angielskiego, pokazują nam Londyn i Transwaal w okresie, kiedy wojna z Burami ujawniła po raz pierwszy słabość podstaw, na których, mimo całą przenikliwość polityki angielskiej, opierał się gmach tej potęgi. *La Fête arabe*, jedna z najlepszych ich książek, to Sahara i Algier, gdzie zarówno Francuzi, jak i Arabi czują się coraz mniej u siebie. Jednych wypierają, drugich wyzyskują coraz bezlitośniej napływowe elementy osadników „śródziemnomorskich", że użyję przyjętego już ogólnie we Francji określenia, —

przeważnie Włochów i Hiszpanów. *La Bataille à Scutari* rozgrywa się w Albanji, *Rabat ou les heures marocaines* i *Marakesch ou les Seigneurs de l'Atlas* w Maroku. *A l'ombre de la croix*, książka braci Tharaud, która rozeszła się z pewnością w największej ilości wydań, odmalowuje środowisko żydów węgierskich i galicyjskich — ciemnych mas, wrosłych w wielowiekowe tradycje, *Le Royaume de Dieu* pokazuje też same warstwy żydów ukraińskich wobec grozy pogromu; *Quand Israël sera roi* próbuje wytłomaczyć tajne racje rewolucji bolszewickiej na Węgrzech w r. 1910-ym. Opowieść przygód Samby Diouf'a, czarnoskórego bohatera ostatniej powieści dwojga autorów, prowadzi nas z zachodnio-afrykańskich posiadłości francuskich pod mury Verdun'u. Do kilku rzeczy dostarcza tła sama Francja — Paryż za Henryka IV-go (*La tragédie de Ravaillac*), Paryż podczas Komuny (*Un ami de l'ordre*), rodzima Charente pisarzy i graniczące z nią prowincje — Limousin i Périgord (*Les hobereaux, La maîtresse-servante*).

Kilka z nich też zaledwie jest właściwie powieściami. Wszędzie inwencja zredukowana jest do bardzo szczupłych rozmiarów. Nikła fabuła dostarcza tylko pretekstu do książki. *La maîtresseservante* stanowi w tej twórczości jedyne chyba dłuższe studjum psychologiczne—zobrazowanie dramatu życia istoty bezpomocnej w swem tkliwem poświęceniu i człowieka, który zrobił z niej swą kochankę — dramatu ścierania się jej uległego oddania z jego egoizmem i twardą tyranją jego matki. Ale i tu zapadła prowincja z jej martwotą i odrętwieniem przetrawiającem powoli energję i wolę czynu, cała jednem słowem atmosfera moralna, wobec której stawiają nas przenikliwie zanotowane wrażenia autorów, przykuwa nas więcej, niż losy dwojga ludzi, którzy stali się jej ofiarami. Właściwym przedmiotem *Hobereaux* (Cahiers de la Quinzaine, 1904) jest sam Pèrigord: przeciwstawienie sobie dwóch klas społecznych na tle atmosfery, jaką tam wytworzyły wieki, właściwym tematem patetycznej noweli *Les Frères ennemis* (Cahiers de la Quinzaine, 1906) ścieranie się katolicyzmu z kalwinizmem *Dingley'a* można uważać za subtelną monografię pisarza świadomego, że streszcza w oczach całego swego narodu jego imperjalizm, upojony w pewnym momencie tryumfami, jakie święci. Ale jest to również próba wejrzenia w zbiorową duszę rasy z jej nieugiętą wolą i bezsprzeczną pychą ale niemniej bezsprzeczną wielkością i pełnym godności stoicyzmem wobec przeciwieństwa.

Dusza prowincji, rasy, narodu, epoki, a wraz z tem konflikty wrogich sobie wzajem atawizmów, tradycji i wierzeń zaczyna z biegiem czasu pociągać obu autorów coraz żywiej. Stąd widzimy ich na wszystkich drogach świata, bo nie zadowalają się teoretyczną dokumentacją, jaką mogą im dać najbogatsze choćby biblioteki i archiwa. Ich organizacja duchowa domaga się wizji bezpośredniej, zetknięcia się z rzeczywistością. Dla zrozumienia i wyczucia duszy zbiorowej muszą wniknąć w tę rzeczywistość, przepoić się nią nie jako. Z tych prób wżycia się w nią powstaje, poczynając od *Fête arabe*, cały szereg wymienionych już wyżej utworów. Jedne z nich przeciwstawiają sobie wzajem w Algierze, Maroku, na Bałkanach—Islam i chrześcianizm, inne odmalowywują z niezwykłą mocą sugestji życie najciemniejszych sfer żydowskich, odgrodzonych od nowoczesnego świata murem wiekowych przesądów, tradycji i tęsknot.

Heures Marocaines, podobnie jak powieści z cyklu żydowskiego, należą do ostatniego okresu twórczego braci Tharaud. W kółku, w którem obracali się w latach młodzieńczych, przedstawili wraz z Karolem Péguy i paru innymi towarzyszami element „socjalistyczny a nawet anarchistyczny“, jak zaznacza to sam Hieronim. Przetwarzali zuchwale społeczeństwo. Nie widać już śladu tego w ich twórczości. Przystąpiwszy do niej, są od pierwszych niemal poczynań najbardziej zrównoważonymi i najbardziej objektywnymi z pisarzy. Nakazuje im ten objektywizm cała ich estetyka. Żądni wglądania w samą treść rzeczy i pokazywania ich złożoności w skrótach redukujących ją do jej pierwiastków najistotniejszych, czynią z tych skrótów wspaniałe „exposés“, gdzie niema miejsca na wyraz ich indywidualnego stosunku do danego przedmiotu. I otóż w *Godzinach marokańskich* objektywizm braci Tharaud zaczyna załamywać się nieco, może jednak nie z pożytkiem dla ich twórczości. Jeździli do Maroku w charakterze korespondentów poniekąd oficjalnych. Załamanie nastąpiło na tem tle. Prastara cywilizacja muzułmańska Maroku występuje ze stron ich bardzo zresztą ciekawej książki w całym swym przepychu i całej swej poezji. Spowili ją we wszystkie jej czary. Ale wśród tych obrazów znalazło się już miejsce na refleksje, podyktowane przez względy polityki kolonjalnej.

Nie zapominajmy, że bracia Tharaud byli sekretarzami Barrès'a w okresie, kiedy jego fizjonommia polityczna zarysowała się już była bardzo wyraźnie. Ulegli bezsprzecznie w pewnej mierze jego wpływom i przejęli nawet coś z jego stylu, ale urabiając go swoiście. Ich dobitna zwięzłość różniła się nazbyt od jego form ekspresji, ażeby wpływy mogły sięgnąć głębiej w tym kierunku. Podobnie jak Barrès, intellektualizują też wrażenia, ale jest to ich cechą organiczną a nie przyswojoną. Natomiast wpływ Barrès'a począł ujawniać się nietylko w niektórych linjach ich myśli, ale i w procederach najcałkowiciej obcych dawniej tym dwóm pisarzom, nadewszystko zaś w dociąganiu do swych zamierzeń tej rzeczywistości, której byli dotąd beznamiętnymi obserwatorami. Mam tu zwłaszcza na myśli książkę poświęconą rewolucji węgierskiej 1919 r., gdzie autorowie operują uproszczonemi argumentami wszystkich nacjonalizmów, nie rozstrzygającymi nic zgoła, które niedawno jeszcze potępiliby sami.

Z drugiej strony długa praktyka dziennikarska odbija się nieco od pewnego czasu na ich sposobie rozsnuwania opowieści. Bracia Tharaud zaczynają ulegać potrzebie szeregowania efektownych epizodów. Uderza to może najwięcej w pierwszej z powieści żydowskich *A l'ombre de la croix*, nie pomniejszając zresztą w niczem jej cennych zalet. Istotnie, autorowie wleli w ten obraz życia i śmierci małego Rubena, słodkiej i czystej ofiary ciemnoty i

przesądów, więcej może wzruszenia niż w którykolwiek ze swych utworów, że przypomnimy tylko patetyczną scenę, gdzie pokazują go nam wpatrzonego w oblicze rozpiętego na krzyżu Boga chrześcian, o którym myśl nękała gorączkowe jego wyobraźnię. To też mimo drobne zastrzeżenia, książka ta zasługuje w pełni na uznanie, z jakiem się spotkała.

Taką jest ta twórczość w jej głównych zarysach. Obejmujac ją w jej całokształcie, musimy przyznać, że niewielu pisarzy zwróciło swe zaciekawienia w tylu i tak różnorodnych jak bracia Tharaud kierunkach. Niewielu też umiało wyrazić z równą jak oni wypukłością duchową i moralną fizjonomię ludzi i rzeczy i szukało równie wytrwale głębokich pobudek akcji tych kilku zasadniczych czynnników, naokół których obracają się dzieje ludzkości.

Marja Rakowska.

KRONIKA ARTYSTYCZNA.

Dokoła wystawy „Młodej Polski" w Paryżu. Najciekawsze może artykuły poświęcone polskiej wystawie ukazały się w miesiącu ubiegłym. Młody a wybitny znawca współczesnych prądów estetycznych, p. V. George, omawia w 2-gim n-rze pięknego miesięcznika „L'amour de l'art" ruch artystyczny w Polsce, zatrzymując się z predylekcją nad „Formistami". Obszernie dyskutuje ich doktrynę na podstawie rozpraw pp. Winklera i S. Witkiewicza, podziwiając dojrzałość ich myśli estetycznéj, którą zdaniem jego formiści górują nad artystami francuskimi (w myśli — nie w dziełach, niestety). Podaje następnie szereg krótkich a bardzo pochlebnych charakterystyk poszczególnych wystawców. Artykuł ten jest ozdobiony 11-tu reprodukcjami w piśmie, ukazał się też, jako odbitka, z dodaniem szeregu dalszych reprodukcji. Odbitka ta na wybornym papierze ma wygląd zewnętrzny bardzo skromny, ale przyzwoity, fotografje są nieduże, lecz wyraźne i dobrze wykonane. Szkoda wielka, że w obiegu jest dopiero dziś, w miesiąc przeszło po wystawie. Są naturalnie i braki. Trudno byłoby zrozumieć, dlaczego pominięto w reprodukcjach panie M. Muterową, Ordyńską-Morawską, L. Grosa, J. Kwiatkowską, Brandla, Noakowskiego etc., gdy łatwo darowalibyśmy autorom odbitki opuszczenie paru „arcydzieł", które w ten sposób uwieczniono. Znajdujemy tu fotografje dzieł następujących artystów pp.: Halickiej, Szczytt-Lednickiej, Pankiewicza, Wąsowicza, Chwiska, Czyżewskiego, Z. i A. Pronaszków, Bohdanowiczowej, N. Aleksandrowiczowej, Zaruby, Fedorowiczówny, Samlickiego, Zawady, Marjana Plaszkiewicza, Kislinga, H. Kwiatkowskiej, Blacka, Skoczylasa, Fedkowicza, Pugeta, Rubczaka, Marcosn(sis)a i Zieleniewskiego.

P. Schneeberger w „Revue de l'Époque" (z marca) i szczególnie w „Le Monde Nouveau" z 15/III, konstatując wysiłek artystów polskich w pracy nad odrodzeniem sztuki polskiej, pragnąłby, aby szukali oni natchnienia raczej w tradycji narodowej, która stworzyła naszą bogatą puściznę artystyczną. Pochwala też szczególnie prace p. N. Aleksandrowicz, mające zdaniem jego pokrewieństwo z twórczością S. Wyspiańskiego, którego uważa za wielkiego artystę. P. Schneeberger, jak V. George, jak i N. Beauduin, odzywa się z wielkiem uznaniem o naszej sztuce stosowanej. Pozatem N. Beauduin w „La Vie de Lettres" z lutego poświęca dużą część swego artykułu p. M. Muterowej, której inspirację i przenikliwość psychologiczną porównywa z Dostojewskim. Wreszcie autor tych kilku uwag ogłosił w „La Vie" z 1/IV artykuł, w którym podkreśla tendencje sztuki współczesnej w kierunku międzynarodowym. Wystawa paryska zadokumentowała odrębność polskiego temperamentu i wysoki w Polsce pomimo ciężkie warunki poziom kultury artystycznej. Wniosek ten zgadza się z wywodami V. George'a w „L'Amour de l'Art".

W krytykach powyższych zostali wymienieni kilkakrotnie z oceną pochlebną następujący uczestnicy wystawy: panie. M. Muterowa, Szczytt-Lednicka, Bohdanowiczowa, Aleksandrowiczowa, Ordyńska, Halicka, H. i J. Kwiatkowskie, Ciechanowska, Fedorowiczówna, Frankowska, Piramowiczówna, Bertin (Rubczakowa); panowie: Wąsowicz, A. i Z. Pronaszko, Roguski, Gotlib, Kisling, Skoczylas, Reget, Black, Gros, Chwistek, Marcons(sis), Czyżewski, Zaruba, Chmieliński, Noakowski, Pankiewicz, Rubczak, Zawado, Hayden, Brandej, Samlicki, Hardowski, Zieleniewski, Hecht, Witkowski, Teslar, Rutkowski, Marjan P. (aszkiewicz), Milich, Landau...

Niech mi wolno będzie dorzucić tu jedną uwagę. Kilkakrotnie już miałem sposobność, ostatnio w „Tygodniu Polskim", podnosić bardzo energicznie potrzebę stworzenia systematycznej propagandy polskiej za granicą, w szczególności w dziedzinie literacko-artystycznej. Z radością witamy każdy głos, który pojawia się w prasie polskiej w obronie tej tezy. Krytyka ta wszakże nie powinna rozpraszać się w drobiazgach. Tymczasem donoszą mi, że „Kurjer Polski" niedawno gorzko wyrzucał propagandzie polskiej w Paryżu ten fakt, że pochlebna zresztą wzmianka o Skoczylasie w „Esprit Nouveau" przekręciła doszczętnie jego nazwisko. Porozumiejmy się. Żadna na świecie propaganda, ani teraz, ani w przyszłości odpowiadać nie może za mylnie przez cudzoziemca zapisane nazwisko lub za błędy drukarskie. Do tego musiałaby posiadać prawo cenzury, której przedstawianoby w korekcie każdy artykuł francuski do poprawienia... A jeszcze pozostałaby fantazja zecera... Zaiste, nie przesadzajmy.

E. W.

STULECIE URODZIN MÜRGERA.

(1822 — 61).

Mimo ciężki i trudny żywot, przenoszenie się przez długie lata z poddasza do poddasza i zmaganie się do końca niemal z biedą i brakiem, Henryk Murger urodził się pół szczęśliwą gwiazdą. Popularność jego przetrwała zwycięsko próbę czasu i jeżeli „Sceny z życia cyganerji (Scenes de la vie de boheme), które zdobyły mu sławę i powodzenie w handlu księgarskim i na scenie, nie znajdują już dziś licznych czytelników, jeżeli nikt zgoła nie zna innych dzieł jego, sama postać piewcy Mimi i Musette przechowała się

żywo w pamięci potomnych. Powraca raz po raz przed ich oczy, wytworzyła się naokół niej legenda. Niemało elementów dostarczyła jej nieprawdopodobna wprost ilość poświęconych Murger'owi broszur biograficznych i wspomnień. Pisało o nim bardzo wielu z jego współczesnych, pisali wszyscy niemal towarzysze jego lat młodzieńczych, towarzysze nie tylko zabawy, lecz i pracy. Nie trzeba bowiem zapominać, że świat ówczesnej cyganerji paryskiej nie był bynajmniej tym przytułkiem rozpróżniaczonej ignorancji i rozwiązłości, jaki widzą w nim chętnie ludzie, zapominający, że obracali się w nim Th. de Banville, Narar, Champfleury, Debrosses, Chintreuil, Monselet.

Stosunek do Murgera autorów poświęconych mu wspomnień jest na ogół sympatyczny, ale i po przez sympatję wyziera tu i owdzie zawiść, wywołana niesłychanem powodzeniem Cyganerji, które zresztą nie zbogaciło go bynajmniej. Niektórzy nie darowują mu wyraźnie tego powodzenia, i to nie tylko w klanie bez wartości, szukających go bezowocnie. Zjadliwa małostkowość braci Goncourt'ów której nie mogło przytłumić nic zgoła, dopatruje się naprzykład w smutnej śmierci Murger'a w szpitalu słusznego zrządzenia boskiego, kary zesłanej przez niebo na cyganerję. Vie de boheme rozchodziła się w zbyt licznych tysiącach egzemplarzy i zbyt wielu wydaniach, by nie ściągnęła na siebie gromów dwóch braci, którzy, krocząc w tak zasadniczo odmiennym od Murger'a kierunku, mogli byli przejść zwyczajnie nad jego twórczością do porządku dziennego.

Jakże zdziwiłoby ich dziś przetrwanie jego legendy i ten długi szereg kronik, przypominających setną rocznicę jego urodzin (27 marca 1822), w skromnem mieszkanku ubogiego krawca, który, dla powiększenia szczupłych zarobków, miał niezadługo skojarzyć ze swem zajęciem funkcje stróża. Edmund de Goncourt był jeszcze świadkiem wzniesienia Murger'owi pamiętnika w ogrodzie luksemburskim (1895). Pomnik nosi napis: „Od młodzieży, od przyjaciół" — i ten napis mógł wytłomaczyć autorowi Germinie Lacerteux racje sentymentu, jaki potomność przechowała dla autora Vie de boheme, pisarza bardzo średniej bądź co bądź miary i przeciętnej inteligencji. Ale stosunek do człowieka i twórczości określony tu jest zwłaszcza przez sentyment: nie wchodzą w nim właściwie w grę wartości literackie dzieła. A sentyment ten występuje nadewszystko u młodzieży. Murger'owi u niego tej oryginalności, którą mu przypisywano wspaniałomyślnie pod wpływem niezwykłego rozgłosu Scen z życia cyganerji. Nie brak mu dowcipu, ale jestto na ogół dowcip łatwy i dość pośredniego gatunku. Ale i z dzieła i z człowieka przemawia ta potrzeba przygód i wrażeń, choćby po przez łzy, ten beztroski i nieopatrzny duch cygański, które, póki istnieje młodzież nie pozbawiona młodości, będą zawsze tkwiły w jej sercu i pociągały ją magnetycznie. Tu leży tajemnica sugestji, jaką wywiera dotąd Murger. Jego Cyganerja odzwierciadla z niezaprzeczoną szczerością istotne przeżycia. Dlatego zachowała barwy życia.

W szczerości instynktu cygańskiego Murger'a szukać może należy również wytłomaczenia jego przygód miłosnych od pierwszej Mimi do Musette. Jeżeli bowiem mamy wierzyć opisom spółczesnych, miał dość niezachęcającą powierzchowność. „Był to—mówi o nim Ricault d'Herocault—bardzo brzydki i to brzydotą wulgarną, bardzo niezręczny, bardzo mały. Miał głos łamiący się, łysinę, długą ciemną brodę, która wyglądała na odbarwioną, zapłakane powieki i oczy bez blasku, wypukłe—łagodne i nieśmiałe". Gdy z jednego oka ciekły łzy, drugie śmiało się do Mimi. Sam Murger nazwał siebie „łysą niezapominajką". Ale mało pociągająca fizjognomja nie zakłócała mu spokoju istnienia ani też pozbawiała go humoru i werwy.

Murger spędził kilka ostatnich lat życia w Martette, jednej z wsi przylegających do lasu Fontainebleau. Niewielkie domostwo w którem tam mieszkał, przyciągnęło licznych ekskursjonistów. Dziś jeszcze jest celem pielgrzymek jego wiernych zwolenników, choć już zniknęła z niego przybita po jego śmierci tablica pamiątkowa. W samym lesie jedno ze wspomnianych drzew otaczających słynną Mare aux Fecs nazywa się dębem Murger'a W jego cieniu, mówi Przewodnik po Fontainebleau, „kreślił ten wdzięczny piewca swe powieści".

W-a.

TWÓRCZOŚĆ POLSKA W LITERATURZE JUGOSŁOWIAŃSKIEJ.

Jakkolwiek widoczniejszych śladów literatury polskiej spostrzedz nie można w dziejach ewolucji słowieńskiej duszy, ani też silniejszego wpływu twórczości naszej na estetykę słowa Jugosłowian, to jednak przy głębszem badaniu wynaleźć można ścisły nawet kontakt duchowy między pokrewnemi temi narodami. Pierwszym Słoweńcem, który utrzymywał częste stosunki z protestantami polskimi i był nawet ojcem chrzestnym księżniczki Katarzyny, późniejszej królowej potężnej podówczas Polski, był biskup koperski, X Piotr Paweł *Vergerio*, mąż wielkiej wiedzy, słynny humanista i delegat papieski na dworze austrjackiego cesarza Ferdynanda, przyjaciel jego osobisty i zausznik. On to właśnie pobudził Primusa *Trubara* do pisania dzieł w języku serbsko-chorwackim, odrzucając bizantyjski schemat kirilicowy i wskazał na Polskę, która otrząsnąwszy się z maniery łacińskiej, przeszła już do polskości. Nadomiar jeszcze do poznania ówczesnej poezji polskiej, choć wtedy wątłej wielce i leżącej w kolebce, przyczyniła się młodzież lechicka, która studjując na sławnych wówczas uniwersytetach niemieckich, jak w Wittemberdze, Jenie i Tybindze, udzielała chętnie o niej wiadomości kolegom słowieńskim, uczącym się tamże. Owocem zbliżania się takiego było to, że gdy kraińskie stany przystąpiły do edycji Biblji Świętej w języku słowieńskim a redagowanej w duchu protestanckim, wzięły biblie polską i ostrogską (ruską) za wzór do tłumaczenia. Z Ratyzbonu więc wędrowała biblja polska, która kosztowała 5 zł., aż do Lubljany, stając się razem z biblją czeską i niemiecką pierwszym zaczątkiem duchowego węzła, łączącego późniejszych Jugosłowian z synami Polski. Rok 1563

był epokowym dla literatury południowo-słowiańskiej; w onym to roku bowiem baron *Ungnad* wspólnie z *Khlombnerem*, kraińskich stanów sekretarzem, zajęli się wydawnictwem Biblji w języku chowacko-serbskim. O tym pierwszym wpływie kultury naszej na twórczego ducha słowieńskiego, wspomina dość lapidarnie w przedmowie do biblji Zasławskiej polski reformator, luteranim Szymon *Budny*, wskazując na gorące dysputy słowieńskich studentów w Tybindze. Nawet *Adam Bochowicz*, któremu naród chorwacko-serbski zawdzięcza pierwszą gramatykę, w Wittemberdze w r. 1584 drukowaną, rozprawia szeroko o literaturze polskiej, przytaczając „Ojcze nasz" w oryginale.

Od tego czasu trzy wieki bezmała upłynęły. Dopiero w XVIII stuleciu, kiedy oświecony absolutyzm stał się hasłem dla całej Europy, wyczuć powtórnie można wpływ pisarzy naszych na twórczość Jugosłowian. Gramatyki polskiej używał Błażej *Kumerdey* do swej słynnej historyczno-porównawczej gramatyki chorwacko-serbskiej. Ten słowieński Małecki stał się też świetnym organizatorem szkolnictwa ludowego w Slawonji, Dalmacji i Krainy. Z naszym *Lindem* korespondował też X. Jerzy *Japelj*, encyklopedysta, gramatykopisarz, tłomacz Pisma Św. i edytor wielu książek o treści religijnej. W listach onych znajdujemy ustępy dla nas nader ciekawe, gdzie Linde prosił Japlja o słownik Megisera, jedyny w swoim rodzaju klejnot umysłu słowieńskiego, egzemplarz którego przechowany był w bibliotece celowieckiej kapituły, pożyczając mu wzamian biblję ostrogską. W tej to epoce żył też i działał dla dobra swego ludu Marek *Pochlin*, mnich, autor wielu religijnych i świeckich dzieł, który słowa szczeropolskie używał często jako brakujące terminy do jaśniejszego wyrażania się.

Świetlana doba romantyzmu zaznaczyła silnie wpływ swój na psychę i słowo trójimiennego narodu. Z dwóch stron bowiem, z Francji i Niemiec a temsamem i Polski, przelewały się fale romantyzmu, miazmatami oschłego klasycyzmu przepojonego jeszcze, poprzez kraje, między Sawą, Drawą a Śródziemnem Morzem leżące, wydając na świat głośnych mężów, jak *Vodnika* i *Kapitara*. Na czele francuskiego romantyzmu, w Jugosławji bardzo rozwielmożnionego podówczas, stał baron Zygmunt *Coja*, mecenas słowieńskiego narodu. Pod wpływem jednak silniejszego z Polski eksportowanego romantyzmu rozpadła się duchowa twórczość swojskich pionierów na dwa wzajem zwalczające się obozy. Pierwszy nazwano „ilirski", drugi zaś „ezbelica" (Pszczółka), którego siedzibą była Lubljana.

Z kresów słowieńskich, zwłaszcza ze Styrji i Karyntji, napływali zwolennicy ilirskiego ruchu, skupiając się wokół zdolnego leadera L. *Gaja* w Zagrzebiu. Do Polski wszelako odnosił się ten prowodyr nieżyczliwie, ba, wrogo nawet, konspirując przeciw studentom naszym w Warszawie, gdzie z Paskiewiczem układał tajne a brudne konszachty, a jednocześnie bił pokłony przed Franciszkiem I, cesarzem Austrji a jego panem. Mimo to jednak z tego koła wyszedł genialny Stanko *Vraz*, wielbiciel polskiego romantyzmu, a przedewszystkiem naszego wieszcza, którego dzieła przełożył starannie na język chorwacko-serbski. *Mickiewicz* był dlań półbogiem z polskiego Parnasu, w tworzywach jego widział absolutne piękno słowa i stylu. Vraz pisywał też i zgrabne wiersze i naśladował chętnie rytmikę naszych pieśni ludowych, rozkoszując się t. zw. „krakowiakami".

Lublana stała się zwolna ośrodkiem romantyzmu polskiego, gdzie wśród grona literackiego „Pszczółki" Emil *Korytko*, emigrant polski, odegrał wybitną rolę. Z obozu tego wyszedł największy poeta jugosłowiański Franciszek *Preszern*, jakoteż i działacz społeczny Dr. Maciej *Czop*, poliglota, imponujący ogromną wiedzą i erudycją. Czop w latach 1825—27 wykładał nawet filologię słowiańską na uniwersytecie lwowskim. W tem to mieście przejął się polskim ruchem literackim i stał się jego pionierem we własnej ojczyźnie, dokąd wrócił, pędzony nostalgją. Wśród literackiej grupy „Pszczółka" skupił się z czasem najprzedniejszy kwiat młodzieży południowo-słowiańskiej i pod wpływem romantyzmu polskiego ,wyzbywszy się nalotów obcych, stworzył z Preszernem na czele szczyt pięknej literatury słowieńskiej. Gdy w r. 1835 Czop umarł nagle tragicznie, tonąc w wodach Sawy, ster doborowego stowarzyszenia „Pszczółka" wziął w swe ręce nadzwyczaj zdolny Andrzej *Smole*, który zwiedzając całą niemal Europę a Polskę w szczególności, stał się zwolennikiem i głosicielem polskiego romantyzmu, wydając w Pradze czeskiej u Czelakowskiego zbiory poezji ludowej. Trzecią gwiazdą na firmamencie Lublany był przybysz polski, E. *Korytko*, który w r. 1837 zawarł w Lublanie zażyłą przyjaźń z adwokatem Dr. *Chrobatem*, którego żona była rodem ze Lwowa. U tego właśnie jurysty praktykował młody Dr. Preszern, późniejszy wieszcz narodu słowieńskiego, którego córka Luiza *Pesjakowa* była pierwszą działaczką na niwie literackiej. Jak dalece wpływ Korytki zaznaczył się w ówczesnej literaturze jugosłowiańskiej, świadczą wymowne, w jej pamiętniku zawarte słowa, że od wielkiego jej ojca nauczyła się pisać poezje w duchu narodu chorwacko-serbskiego, od „Polaka" zaś „...Korytki kochać gorąco ojczyznę..."

Korytko złotemi zgłoskami wyrył swe imię w księdze słowiańskiego Panteonu, albowiem jako znakomity folklorysta oddał niezmierne usługi swym pobratymcom, rysując stroje narodowe, spisując wierzenia, kabały i czary, jakoteż zabobony i podania słowieńskiego ludu i zbierając wszędzie zapomniane a przezeń odkryte nowe poezje narodowe. Dziwnym trafem, wszystkie prawie zbiory tego przedwcześnie, bo w r. 1839 zmarłego uczonego, zaginęły gdzieś w powodzi późniejszych zamieszek. Przed laty około 15 dopiero znalazł Rusin Iwan *Franko* u jakiegoś żydowskiego handlarza starych książek we Lwowie większą część spuścizny jego i ocalił tym sposobem cały olbrzymi dorobek literacki Korytki przed zniszczeniem i zagładą.

Od roku wolnościowego 1848, kiedy cenzura austrjacka raz na zawsze zwisać przestała, jak miecz Damoklesa, nad piewcami ludu chorwacko-serbskiego, literatura jugosłowiańska rozkwitła w całej pełni, zwłaszcza gdy wolno już było otwarcie pisma redagować i drukować książki w języku narodowym. Wtedy to cała rzesza wybitnych pisarzy siliła się nad udoskonaleniem formy, stylu i piękna ojczystego języka, mając wciąż skierowane oczy na intelektualnie wielką Polskę, przekładając nieśmiertelne dzieła jej herosów ducha na język Kopitara. Tłumaczono więc gorliwie „Fary-

sa" i „Sonety krymskie" *Mickiewicza;* następnie „Irydjonn" *Krasińskiego*, „Kirdżal" *Czajkowskiego*, „Chata za wsią" i in. *Kraszewskiego*, później nawet całość dzieł *Sienkiewicza*. Z modernistycznej literatury polskiej przełożono *Żeromskiego*, *Tetmajera*, *Wyspiańskiego*, *Rydla*, *Prusa* i in. Ogromnie czytane i lubiane w Jugosławji są arcytwory Sienkiewicza, które przetłumaczył chłop słoweński Piotr *Miklavic*, ślepy a kongenialny intepretator uczuć narodu polskiego.

Dr. Eugeniusz Meller.

LITERATURA I SZTUKA U OBCYCH.

❀ **Annuaire des artistes** (Theâtre, Musique, Danse, Cinéma) 1921 — 2. Publié par l'Office Général de la Musique (15 rue de Madrid), Paris. 30 francs.

Ten rocznik artystyczny przedstawia olbrzymi tom oprawny, wydany z gustem, ułożony przejrzyście i wyczerpująco, ozdobiony zdjęciami wszystkich scen ważniejszych i fotografjami wybitniejszych artystów oraz krótkim ich życiorysem. Obejmuje całą Francję oraz artystów francuskich w krajach pogranicznych posługujących się językiem francuskim. Zasługuje na polecenie uwadze historyków teatru. Może śmiało służyć wzorem dla wydawnictw o charakterze pokrewnym w innych krajach. Podaję niżej dokładne streszczenie spisu treści:

Część I-a.

Dokumenty urzędowe.

Ministerstwa Sztuk Pięknych (organizacja, zarząd główny, dyrekcja paryska, Institut de France, Akademja Sztuk Pięknych).

Nauczanie dramatyczne i muzyczne, Konserwatorjum Narodowe, filje prowincjonalne, Szkoły Narodowe, miejskie, Konserwatorja miejskie, Szkoły muzyczne w Paryżu, Szkoły wolne muzyczne, Nauczanie tańca i kinematografji.

Informacje ogólne (Konkursy. Dary. Fundacje. Nagrody. Muzyka wojskowa. Prawo autorskie. Różne stowarzyszenia).

Widowiska i muzyka w Paryżu. Teatry (krótka historja, rozdział ról, treść i sprawozdania ze wszystkich nowości i wznowień w sezonie 1920—1 przez J. Bonnerot). Teatry de verdure. Music holle i Koncerty. Cyrki. Kabarety artystyczne. Kinematografy. Bale. Dancingi. Sale koncertowe. Wielkie koncerty symfoniczne. Różne zespoły instrumentalne i wokalne. Kawiarnie z orkiestrą. Towarzystwa muzyczne i artystyczne. Muzyka religijna. Prasa i Krytyka.

Część II, III, IV i V. Spis alfabetyczny: artystów, aktorów, dyrektorów, kapelmistrzów, autorów i kompozytorów (życiorysy, adresy, fotografje (wybitniejszych), nekrologi) w całej Francji, Paryżu i na przedmieściach, na prowincji, w kolońjach, w Monaco, Belgji, Luxemburgu, Szwajcarji. Adresy firm.

E. W.

❀ **Tradycyjny konkurs poetycki w Japońji.** Od niepamiętnych czasów istnieje w Japońji zwyczaj urządzania konkursu na poemat noworoczny. Mikado wybiera osobiście temat, który podawany jest następnie do wiadomości publicznej. Do udziału w konkursie wzywany jest cały naród, bez względu na stanowisko społeczne, płeć i wiek, a utwory winne być przesyłane przed 15 grudnia do departamentu poezji dworu w Tokjo. Na zaproszenie cesarskie odpowiadają zarówno ubodzy, jak i bogaci, młodzi i starzy, ludzie z kast najwyższyh i najniższych i nietylko z Japonji właściwej, ale i z jej posiadłości — z Korei, Formozy, Sachalinu i Mandżurji, jak również i z krajów obcych, z Ameryki, z wysp Hawajskich i t. d.

W roku bieżącym nadesłano na konkurs przeszło 26,000 poematów. Komisja, złożona z urzędników nadwornego departamentu poezji wybrała z tej olbrzymiej cyfry 280 utworów, które następnie, dnia 16 stycznia przedstawione zostały do oceny komitetowi specjalnemu, pod przewodnictwem ministra dworu cesarskiego, wicehrabiego Makino. Ten komitet wybrał tylko 14 poematów, jako zasługujących na odczytanie podczas wielkiej uroczystości poetyckiej dnia 18 stycznia w pałacu mikada. w obecności cesarzowej i księcia następcy tronu, ogłoszonego obecnie regentem, z powodu choroby cesarza. Oprócz 16, wybranych przez komisję, poezji odczytano na uroczystości jeszcze 33 utwory różnych książąt, księżniczek oraz innych dygnitarzy — znalazły się się tam także i utwory cesarzowej oraz następcy tronu.

W roku bieżącym temat wybrany przez cesarza brzmi po japońsku: „*Kyokkoh-Shoh-Ha*" — co znaczy: „Wschodzące słońce świecące na falach". „*Times*", podając opis tej uroczystości, przesłany przez p. Gonnoske Komai, przytacza też autografy cesarzowej i następcy tronu oraz ich utwory w oryginale i w wolnym przekładzie angielskim.

Poemat cesarzowej w tłómaczeniu z angielskiego brzmi:

„O, jakże się raduję widząc, że narody kochają się wzajemnie, gdy patrzą na wschodzące słońce, rzucające pozłotę na lazurowe morze, którego wszystkie fale uciszyły się w pogodnym złocistym spokoju."

A oto co napisał następca tronu.

„Jakiż to ogrom ten bezbrzeżny ląd stały, tonący w wonnościach porannego słońca, świeży jak jutrzenka wiosenna i cichy jak ziemia nowonarodzona. O, radbym, żeby i ludzie również żyli w pokoju."

❀ **Virgili Brocchi. „Il posto nel mondo". „Secondo il cuor mio".** — P. Brocchi nie należy do żadnej specjalnej szkoły beletrystów — pisarz nawskroś nowoczesny, nie jest futurystą, ani impresjonistą; realista, głęboki analityk namiętności nie jest ani gminny, ani rozwiązły. Jest samym sobą. Niejednokrotnie nazywano go nowoczesnym Fogazzarem; jednakże Brocchi, kreśląc żywe postacie ludzi, porwanych wirem polityki i miłości, dręczonych wyrzutami sumienia, odrębnie, bardziej współcześnie ujmuje zagadnienia psychologiczne, nie będąc humorystą, ma zawsze w powieści pożądane poczucie humoru. Jego miłość dla ludzkości sprawia, że jest optymistą i wierzy w dobroć człowieka tak, że jakkolwiek smutny może być obrany przezeń temat, czytelnik nigdy, skończywszy jego książkę, nie pozostaje z uczuciem rozpaczy. Bogactwo materjału, jakim rozporządza, zniewala go do pisania cyklami.

W nowej książce p. Brocchi'ego poznaje czytelnik Petruccta jako dziecko, a opuszcza go na

progu męskości. Historja tego młodego kowala, który mógł był pochodzić z warsztatu epoki renesansowej, jest raczej pięknym fragmentem, niż skończonem dziełem sztuki. Autor połączył w bohaterze swoim artystę z człowiekiem czynu, uposażył go w urok i siłę. Petruccio zdobywa wszystkie serca postępowaniem spokojnem, pełnem dziecięcéj wesołości, powagą i rozumem. Dusza artysty budzi się w nim pewnej nocy, gdy, małym chłopcem jeszcze będąc, ucieka od ojca, rzucającego posępny cień na domowe ognisko, i szuka schronienia na rzymskiej Kampanji. Przedwcześnie dojrzały umysłowo, Petruccio widzi miłość tylko zdaleka, jak dziecko. Książka przykuwa uwagę czytelnika, który śledzi bohatera walczącego dzielnie z przeciwnościami, dla zapewnienia sobie „stanowiska w świecie"; ubolewa nad cierpieniami chłopca, niezwykle uzdolnionego, muzyka z natury, zmuszonego pędzić raczej życie czynu, niż oddawać się pracy umysłowej, do której tęskni. Gdy w końcu otrzymuje stanowisko zaufane u wybitnego człowieka i świat mówi, że zdobył swoje *„posto nel mondo"*, czytelnik wie, iż taka natura nie może nigdy zadowolić się powodzeniem wyłącznie materjalnem.

„Secondo il cuor mio" — „Według mego serca", należy do tej samej kategorji; jestto studjum natury artystycznej — *„di uno stato d'anima"*. Policarpo Leoni, znany jako Gigi, usiłuje nietylko przepoić uczuciem religijnem swoją sztukę, ale jeszcze przestrzegać jaknajściślej zasad Chrystusa w zmaterjalizowanym świecie. Kocha się mistycznie i jest pełen gorącej skruchy, co wywołuje niesłychane zdumienie w jego uroczej ale zupełnie przeciętnej ukochanej. „Uciekniјmy i bądźmy wspólnie potępieni na wieki!" woła Gigi, dręczony miłością i wyrzutami sumienia. Ukochana uważa, że te słowa nie są zachęcającem zaproszeniem do ucieczki i porzuca go. Gdy spotykają się powtórnie, Gigi jest w zatargu z władzą wojskową, albowiem, zgodnie ze swemi zasadami chrześćjańskiemi, odmówił złożenia przysięgi posłuszeństwa; domaga się zaś stanowiska niebezpiecznego lecz byleby nie był zmuszony zabijać bliźnich. „Cóżby to była za klęska, gdybyśmy mieli wielu żołnierzy takich, jak Gigi, ale jaka pomoc. gdyby wszyscy ludzie byli do niego podobni", woła jenerał, który mu umożliwia spełnienie obowiązku bez zadraźniania uczuć, jakiemi jest ożywiony.

W POLSKIM KLUBIE ARTYSTYCZNYM.

Po gruntownej reorganizacji i ukonstytuowaniu się nowego zarządu (który stanowią pp.: Heymanowa, Jarosławski, Konopacki, dr. Kosmowska, Krajewski i Naglerowa) wchodzi Sekcja literacka przy Polskim Klubie Artystycznym (Hotel „Polonja") w okres intensywnej pracy. Organizuje się szereg odczytów, wieczorów dyskusyjnych i recenzyjnych o najciekawszych nowościach piśmiennictwa i teatru, czytelnia i bibljoteka przy Klubie. Zarząd Sekcji, pragnąc nawiązać najściślejszy kontakt z życiem literackiem stolicy, zwraca się niniejszem do ogółu literatów i krytyków z gorącą prośbą o zgłaszanie swego udziału w wieczorach literackich i pracach Sekcji.

Książki nadesłane do redakcji.

Wydanictwa Krakowskiej Spółki Wydawniczej.

Aischylos. Persowie. Opracował Stanisław Witkowski, str. 102.

Arystofanes. Rycerze. Opracował Bogusław Butrymowicz str. XLIV+96.

Eurypides. Medea. Opracował Bogusław Butrymowicz, str. 94.

Leonard Sowiński. Wybór poezji. Opracował Wł. Bryła, str. 148.

Wydawnictwa „Vita Nuova".

Oskar Wilde. De profundis. W przekładzie R. Centnerszwerowej, str. 160.

Kazimierz Andrzej Czyżewski. Ulica dziwna. Dramat w 3-ch aktach, str. 126.

* * *

Stefan Żeromski. Wiatr od morza, str. 342. Wydawnictwo J. Mortkowicza. T-wo Wydawnicze w Warszawie.

Adolf Nowaczyński. Dokumenty historyczne z wojny europejskiej. Zeszyt I 1914—1915r. Warszawa 1922. Nakładem księgarni Perzyński, Niklewicz i S-ka.

Rosja Sowiecka pod względem społecznym i gospodarczym. Dzieło zbiorowe pod redakcją prof. Ludwika Krzywickiego. Tom I część I. T-wo wydawnicze „Ignis", str. 230.

TYDZIEŃ POLSKI wychodzi w sobotę.
Prenumerata „Tygodnia Polskiego" wynosi **kwartalnie 900 mk., miesięcznie 300 mk za granicą podwójnie.** Cena pojedyńczego numeru **80 mk.**
Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

Cena ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy 60 mk. — Strona ogłoszeniową dzieli się na cztery szpalty.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.
Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch", Kraków, ul. Szczepańska 9.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE" Redaktor: Leon Kozłowski.

Druk. sukc. T. Jankowskiego, Warszawa ul. Wspólna № 54, tel. 266-07.